№ 2. Warszawa, 2 Listopadaa 1907 roku. Rok I.

SPOŁECZEŃSTWO

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

Prenumerata: w Warszawie: z odnoszeniem do domu Rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb 1 k. 90, Miesięcznie kop. 65. Numer pojedyńcz. — kop. 15. Z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 9, Kwartalnie rb. 2 kop. 25. Numer pojedyńczy kop. 15. Za zmianę adresu — 22 kop.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek.

Red. i Administr. Wspólna 24 m. 3; Tel. 116 67.

OGŁOSZENIA po k. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście k. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10 do 7—prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki o g. 5 — 6 p. p. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU.

„BRUDNA WODA".

Pan Roman Dmowski, nieustający prezes jeneralnej reprezentacji polityki narodowo-demokratycznej był tak grzeczny, że zwierzył się „po ukończeniu prawyborów", gdy już wiadomo „mniej więcej (śmiech wstrzymajcie przyjaciele!) kto będzie posłem" ze swych poglądów na „Zadania polityczne naszego (czytaj: endeckiego) przedstawicielstwa". Pan Dmowski nie jest tak głupi, aby sądzić, że te jego zwierzenia, pomimo okrzyczanej „narodowości" polityki endecko-dmowskiej, mogą zainteresować naród; twórca kultu nieustającej adoracji własnej rozumie dobrze, że nad zwierzeniami temi „naród" ,a zwłaszcza te warstwy, które jądro tego narodu stanowią, przejdą do porządku dziennego. To też na nieskończoności szpalt „Gazety Codziennej" rozlaną „literaturę" swoją pan Dmowski przeznacza jedynie dla „własnego obozu... dla obozu tych, którzy organizują przyszłe przedstawicielstwo" i którzy — dodajmy — zaczynają być z p. Dmowskiego niezadowoleni.

Pan Dmowski nie chce „wyjaśniać zawiłych zagadnień" dla tych, którzy „zaczynają spór od ordynarnych napaści i oczywistego fałszowania faktów". Pan Dmowski jest złym łucznikiem. Wiadomo bowiem, że zły łucznik wypuszcza strzały niezręcznie i one powracają, by przebić oko tego, kto je wysłał. O „napaściach ordynarnych" i „fałszowaniu faktów" pan prezes kółka wspomniał nazajutrz po tem, gdy „Kurjer Zagłębia" (organ n. d.) wydrukował feljeton z fałszywemi odezwami P. D. i S. D., mającemi na celu rozbudzenie instynktów najdzikszych tłumu w okresie wyborczym.

Ale pan Dmowski fałszerstw brzydzi się. Lubi tylko czasem tak urządzać statystykę, że, wyciągnięta na łożu prokustowem opinji p. Dmowskiego, zaczyna się skarżyć. „Posiadamy zaufanie większości naszych współobywateli", — stwierdza z zadowoleniem. A konająca w męczarniach statystyka jęczy: „panie prezesie, w Warszawie oddano na listy endeckie nie całe 20 tysięcy głosów... ojoj..."

Jak statystyka tak i logika jest przez pana Dmowskiego traktowana po macoszemu. Czasem opiera politykę swą pasterz endecki na „wspólności z opinją kraju" i na „uczuciach i aspiracjach narodowych" i w tem widzi źródło jej powodzenia, czasem wybiera „drogę trudniejszą" i nie dba o to, co „przez większość z zadowoleniem lub poklaskiem będzie przyjęte", lecz robi to, co mu „własny rozum i sumienie nakazuje". To ostatnie — dodajmy — robi, niestety, zbyt często.

Wyłożywszy na wstępie, na czem polega „zaufanie" współobywateli do N. D., pogroziwszy parę razy, jak to już widzieliśmy, pod adresem tychże współobywateli, p. Dmowski daje nam „w długim sosie" potrawkę z poglądów na Dumę i na zadanie „przedstawicielstwa naszego" (czyt. endeckiego)

Więc przedewszystkiem dowiadujemy się, że p. Dmowski idzie do II Dumy „pod hasłem walki o nasze prawa, *w opozycji do rządu*, który tych praw uznać nie chce". Wogóle pan Dmowski jest usposobiony niezmiernie wojowniczo. Oto, oświadcza — bez ironji—że „kto politykę pojmuje jako żebractwo i wysługiwanie się, ten nie może robić żadnych, nawet bardzo dalekich rachub politycznych", „kto z uzbrojonym i nacierającym przeciwnikiem paktować chce od początku, kto się wyrzeka walki, ten nigdy poważnych korzyści politycznych nie zdobędzie". Czy pana Dmowskiego nie bardzo boli? A kto wycierał przedpokoje hrabiego Wittego prośbami o władzę, ofiarowując wzamian swe usługi dla zduszenia „kramoły" w Królestwie? kto nakazał Kołu głosować za rekrutem? kto całą działalność polityczną opierał na „memorjałach" żebrackich? I kto w okresie ruchu wolnościowego znał jedno tylko hasło polityczne — „cicho siedzieć"?

Pan Dmowski piorunuje przeciw „tradycyjnej bierności umysłu i charakteru, (która) ciągle utrzymuje u nas przy życiu skłonność do zjednywania sobie kogoś", zapominając, że polityka jego własna była tej „skłonności" najlepszym wyrazem. Pan Dmow-

ski i jego stronnictwo starali się „zjednać“ sobie księcia Światopełk-Mirskiego memorjałami, hrabiego Wittego — propozycjami haniebnemi, rząd obecny— głosowaniem za rekrutem. I przewidywania pana Dmowskiego raz nareszcie spełniły się: na „zjednywanie“ to odpowiedziano jemu i jego przyjaciołom politycznym zupełnie zasłużonem kopnięciem.

Dziś pan Dmowski stał się wojowniczym. Obiecuje być w Dumie nieubłaganym opozycjonistą. Oświadcza kategorycznie, że nigdy nie pogodzi się z takiem pojęciem państwa, które pozwoliłoby na zdemokratyzowanie środka, pozostawiając kresy do wyłącznej dyspozycji biurokracji. Polityka, jaką prowadzić obiecuje, będzie zawsze tą samodzielną polityką narodową, tak drogą sercu endeckiemu, a tak głęboko szkodliwą społecznie. Nic to, że przedstawicielstwo polskie będzie znikome liczebnie; pan Dmowski ustroi je w siłę odpowiednią do wartości moralnej i cywilizacyjnej narodu, który powierzył mu mandat obrony swoich interesów.

Za główne zadanie przedstawicielstwa endeckiego w Dumie uważa pan Dmowski „dziś jak i poprzednio walkę o autonomję naszego kraju i udział w walce o przekształcenie ustroju państwowego Rosji“. Gdy wszakże chodzi o określenie terenu tej walki i o wybór broni, — oświadczenia pana prezesa przestają być określone. Enuncjacje polityczne roztapiają się w morzu frazesów pustych i szumnych, w błocie ogólników zwietrzałych i oklepanych. Więc słyszymy o „głębokich dążeniach narodowych“, o „zmienności nastrojów“, o „nerwowości politycznej“; fale wody płyną ze szmerem jednostajnym, sennym i usypiającym.

W możności zdobycia autonomji natychmiast pan Dmowski nie wierzy. O co więc walczyć będzie tymczasem? Jaki jest program jego reform, program konkretny, rzeczywisty, rozebrany z teatralnych szatek frazeologji; czego chce, do czego zmierza, gdzie i jakich szukać będzie sprzymierzeńców, na te pytania próżno szukalibyśmy odpowiedzi

Wyznawcom pana Dmowskiego wystarczyć powinno, że on, pan Dmowski, rozumie „sytuację polityczną“, umie wyciągnąć z niej wnioski „na przyszłość“, nie poddaje się „zmiennym nastrojom chwili“ i zna „głębokie dążenia narodowe“. Pan Dmowski zna swoich: ptasim mózgom stada, którego pan Dmowski jest pasterzem, taka sieczka wystarczy.

To stado uwierzy mu nawet, gdy z iście zdumiewającą czelnością oświadczy, że narodowi demokraci „nie byli szakalami ruchu rosyjskiego, ciągnącemi w jego ogonie z nadzieją pożywienia się bez walki jego zdobyczami“, ale „szli naprzód równolegle z nim, z całą świadomością długiej i trudnej walki, jaka przed nimi leży“.

Pan Dmowski stanowczo nadużywa głupoty i łatwowierności swych stronników. Woda, którą daje im do picia w formie literatury politycznej, może ich pewnego piękngo poranku przyprawić o mdłości. A wtedy nad studnią, z której pan Dmowski ją czerpie, własni jego stronnicy zawieszą napis: „woda brudna i nie zdatna do picia“. *Ślaz.*

MYŚL I PRACA.

(DOKOŃCZENIE).

Suma doświadczeń historycznych danego społeczeństwa stanowi dla niego tę siłę umysłową i moralną, przy pomocy której rozwiązuje ono wszystkie nowe zagadnienia, stawiane mu przez życie. Niewątpliwie nowe warunki życia stwarzają wraz z nowemi formami i typami istnienia nowe formy myśli, nowe typy celowego regulowania i koordynowania wysiłków. Przystosowanie to nie odbywa się jednak całkiem automatycznie i bez przerw. Było to optymizmem Heglowskim

---

Z NIZIN.

I.

O WAWRZONKOWEJ, MIKOŁAJOWEJ I INNYCH.

Pod Warszawą, za rogatkami Jerozolimskiemi stoi olbrzymia kamienica, własność jakiegoś Icka. W kamienicy tej, złożonej z czterech ustawionych w kwadrat gmaszysków mieszkają robotnicy z rodzinami. Bogatsi z nich zajmują całe mieszkania, czyli „cały pokój z kuchnią“, biedniejsi udają skąpców i chorych na „powietrzowstręt“ — wtedy dwie lub trzy rodziny gnieżdżą się w jednej izbie. Bywają tam jeszcze najbiedniejsi, tak skąpi, że nie wnoszą zupełnie opłaty za mieszkanie do worka żydowskiego urzędnika. Tych leczy z powietrzowstrętu, wyrzucając z dusznych izdebek, ów urzędnik, pan „administrator“, zwany w gwarze miejscowym „łajdusem“, „panem rzojcom“, a częstokroć, np. w chwilach rozżalenia — poprostu „tym draniem rzojcom“.

Do mieszkań wchodzi się z korytarzów—ciemnych wązkich i smrodliwych nor. Na każdym korytarzu przylepiono do ściany zlew i wodociąg, udogodnienia urządzone — że tak powiem — na wzór i podobieństwo „instytucji społecznych“, co znaczy, że wszystkie baby „z jednego korytarza“ mają bezwzględne i jednakowe prawo na czerpanie wody z jednego wodociągu i zlewanie pomyj do jednego zlewu. Zlewy stale są przepełnione, gdyż obywatelki wrzucają w nie wraz z pomyjami mnóstwo odpadków, obierzyn ziemniacianych i t. p., utrudniających przeciekanie wody. Często — a nawet zawsze w tych razach — cuchnąca ciecz wylewa się z przepełnionych instytucji na podłogę, tworząc szerokie kałuże. Podłoga gnije, z jej szpar wydobywają się miljony zarazków. Otworzenie drzwi, wiodących z izby na korytarz grozi mieszkańcom izby malarją, tyfusem... Mieszkańcy o tem nie wiedzą, a że podłoga gnije, to ich nic nie obchodzi:—przecież podłoga żydoska. — Smród — nie większy niż w ich izbach .. nieco inny, ale i to nic.

Jeno gdy w zlewie niema już ani krzty miejsca, a któraś z gospodyń chce wylać wiadro pomyj — rozlegają się po korytarzu skargi, narzekania, wrzaski,

---

— A to flucha, ścierwo! Wawrzonkowa! jużeście zliw zapchali? Wawrzyńcowa!

Mikołajowa drze się coraz głośniej. Wabiona zjawia się we drzwiach.

— A to nie możecie wyjońć, nie tu chałasy wyprawiać?

— Stul gembe, kociubo! A jakże! bede jej pomyje wynosiła! patrzcie jom, jeszcze czego!

— A kto wam powiedział, że to ja wylałam?

— Boś flondra, niechluj! — ryczy Mikołajowa, ująwszy się pod boki.

— A tobie wara do moigo niechlujstwa!

przypuszczać, że myśl i życie ludzkie zlewają się z sobą tak absolutnie. Zasługą przedewszystkiem Sorela jest zrozumienie, że pomiędzy rozwojem myśli, a rozwojem życia zachodzą znaczne pauzy, przerwy, dysharmonje. Myśl wytwarza się nie w całej społecznej masie: do dziś dnia jest ona przywilejem. W wytwarzaniu jej biorą udział tylko ludzie, należący do klas posiadających, a w każdym razie ludzie, nie utrzymujący się z pracy fizycznej. Olbrzymi przedział, jaki dzisiaj ludzkość musi w całym swym świadomym życiu wyrównać na tem właśnie polega, że człowiekiem myślącym był w niej zawsze *człowiek*, utrzymujący się na powierzchni cudzej pracy, a więc nie samoistnej wobec przyrody. Myślały i wytwarzały myśl typy ludzkie, nie posiadające samoistnego znaczenia wobec przyrody i stąd świadomość człowieka jest do dziś dnia niezgodna z jego prawdziwym stanowiskiem w świecie, z istotą jego życia. Zachodzą jednak bardzo poważne różnice w wartości oddzielnych tradycji kulturalno-historycznych, rozpatrywanych z tego punktu widzenia. Tradycja polska, jako wytworzona przez historję całkiem prawie z rozwojem materjalnej władzy człowieka nad przyrodą i pracy nierozwiązaną, zawiera niezmiernie mało pierwiastków, zdolnych wytrzymać miarę tu wskazaną. Tradycja ta wytworzona została przez doświadczenia dziejowe nic wspólnego nie mające z rozrostem i rozwojem pracy. Stąd z punktu widzenia nowoczesnego życia cechuje ją czczość, jałowość, bezwzględna niemal. Niezmiernie mało ma ona elementów, na których mogłaby się oprzeć myśl nowoczesnego człowieka. W miarę im większy jest wpływ tej tradycji na życie umysłowe warstw, czy jednostek, tem trudniejszym dla nich staje się wypracowanie świadomości nowoczesnej. Jeżeli uznać za świadomość narodową zespół myśli, uczuć, wartości, pozwalających danej grupie narodowej brać samoistny udział w życiu ludzkości, to pragnąć należy, aby tradycja polska *utraciła u nas wszelki wpływ nad umysłami*. Powiedzą nam, że w obłudnej formie zaprzeczamy narodowości. Ustanawiamy ją tylko. Pragniemy, aby myślą polską była myśl pracujących miljonów, aby one pracą swą z dniem każdym coraz bardziej zrośnięte z organizmem nowoczesnej ludzkości zerwały zgniłe pęta przeszłości, w której niema czem żyć. Dla tego też władza polskiej tradycji nad umysłami tej budzącej się masy, to czynnik ich nieustannego upośledzenia, degradacji moralnej i umysłowej.

Władza tradycji polskiej nad umysłami naszemi była i tak przyczyną nieobliczalnych krzywd i strat w ciągu całego stulecia po upadku Polski. Myśl polska w ciągu XIX wieku nie sprzymierzyła się nigdy szczerze z życiem, nie zrozumiała, że polityczny upadek państwa nie wstrzymuje procesów życiowych w samem społeczeństwie. Po upadku państwa Polskiego społeczeństwo nasze, pomimo przeszkód i klęsk zdołało jednak wypracować w sobie nowoczesne formy życia. Po upadku państwa polskiego, ani na jedną chwilę nie przestało żyć polskie społeczeństwo, nie przestał się przetwarzać, i to pomimo wszystko, w kierunku nowoczesności jego ustrój wewnętrzny. Stało się wreszcie jasnem, że w łonie tego społeczeństwa narodziła się klasa pracująca, tak wysoce już rozwinięta iż odtąd żaden już ważniejszy zwrot w dziejach tego społeczeństwa jest niemożliwym bez świadomego udziału tej klasy. Nowoczesna Polska istnieje, jako fakt. Myśl pozostała w tyle za tym faktem. W zestawieniu z kulturalnym poziomem polskiego robotnika, polska literatura jest nędzarką, polska inteligencja skorupą pasożytniczą, tamującą życie. Inteligencja ta wzrosła na tych modyfikacjach jakim uległa tradycja polska w zestawieniu i zetknięciu z nowoczesnem życiem. Pomiędzy tą tradycją, będącą produktem feodalno-rycerskich form życia, a życiem nowoczesnej Europy, zasadzającem się na przezwyciężaniu tych form, istniała głęboka rozbieżność. Dopóki tradycja ta nie została przezwyciężona, złamana w samych podstawach swego duchowego panowania, dotąd nie mogło być swobodnego obcowania pomiędzy myślą polską, a nowoczesnością. I istotnie obcowania tego nie było. Inteligencja polska nigdy nie przyjmo-

---

— Nie do cie mi jes, ale do twoich pomyj!

Wawrzyńcowa wsunęła się do izby, zostawiając roznamiętnioną sąsiadkę za drzwiami. Znieważona baba zbladła, oczy zabłysły jej wściekłością i — chlusnęła pomyje ze swego wiadra na drzwi Wawrzyńców.

Na korytarzu ukazuje się pan rządca.

— A to co takiego?

— Co? a to to, że w parsywym domu parsywe lekaturki zapychają parsywe zliwy, a po...porzundne ludzie nie majom w co wyliwać swoich pomyjów!

— I dlatego wylewacie wasze nieczystości na drzwi sąsiadów? — przerwał wielkorządca. — Proszę mi te drzwi zaraz wyszorować!

— Wyszoruj pan swoje nieczystości, a w cudze jenteresy nosa nie wtykaj! — odburknęła baba.

Pan rządca wycofał się coprędzej: unikał zawsze rozmów z obywatelkami, znając ich uszczypliwość i niedbałość w dobieraniu wyrazów.

— Usunięcie się pana rządcy pozbawiło Mikołajową słuchających uszów, a że to klęska dla zdrowej baby, więc zabrała wiadro i weszła do izby. Tam, utarłszy zapomyjone ręce w kieckę, podjęła przerwaną pracę nad kluskami. Była zadowoloną z „psoty“ wyrządzonej sąsiadce, radowała się z „utarcia nosa żydoskiemu parobkowi“, uśmiecha.a się na myśl, że Mikołaj Grajda, „jej chłop“, poklepie ją za pyskatość.

Swawolne te myśli przerwało Grajdzinie lekkie uchylenie się drzwi. Chwila jeszcze, a tu wprost na środek izby leci duży pękaty gliniany garnek.

Przez dwa dni dzieci Wawrzonkowej chorowały na żołądki...

Podloga, sprzęty, prześcieradło na łóżku, ubranie Mikołajowej, nawet ciasto na stolnicy — wszystko ucierpiało od zabójczego pocisku.

Niezwykłość postępku sąsiadki wywarła silne wrażenie na Grajdzinie. Zgrzytnęła zębami, zbladła i osunęła się swym szerokim zadem na stołek. Nagle krew napłynęła do głowy, pociemniało jej w oczach, ręce zwisły bezwładnie, na czoło wystąpił zimny pot, twarz skrzywiła się z bólu. Baba dźwignęła się ze stołka, chcąc dojść do łóżka, ale zmroczyło ją do znaku i runęła na podłogę.

Po dwunastej wszedł do izby Mikołaj Grajda, barczysty chłop, o jasnych wąsach, łagodnej twarzy. Ruchem szybkim sprężyście przysunął się do żony, pochylił się nad nią, uniósł nad podłogą. Kobieta jęknęła. Mikołaj dźwignął ją i złożył na łóżku.

Kałuża krwi i dziecko przedwcześnie urodzone znaczyły miejsce, gdzie leżała. Przerażony chłop począł zwlekać z niej okrwawione kiecki, na głowę kłaść szmaty maczane w zimnej wodzie — słowem, bawił się.

Wawrzonkowa biegała tymczasem od baby do baby, a oszczekiwała wypadek. Stała właśnie na podwórzu, otoczona sąsiadkami, z kopystką od tłuczenia ziemniaków w rękach i kończyła opowiadanie:

— A ja na niom chlust! pełnym ury... — gdy pociemniało jej w oczach. To Wawrzyniec Pietrucha „poskrobał jom w ucho“...

wała form życia nowoczesnej ludzkości w dobrej wierze, były one dla niej czemś niezrozumiałem, obcem, jakiemś fatalnem przeznaczeniem, nigdy własną treścią.

Zagadnienie kulturalne naszej epoki polega wszędzie na tem: wytworzyć kulturę, to jest system wartości myśli, pojęć tego rodzaju, aby za jej pomocą mogło kierować samem sobą, całem swem życiem społeczeństwo świadomych robotników, nie ulegających żadnej reglamentacji, ani w procesie wytwórczości materjalnej, ani w swem życiu rodzinno-płciowem. Wytworzenie takiej kultury jest jedyną ideą centralną, pozwalającą znaleźć sens: kierunek w obecnem umysłowem życiu. Wartość inteligencji danego społeczeństwa zasadza się na tem, w jakiej mierze zdolna jest ona podjąć się tego wielkiego dzieła.

Polska inteligencja pod tym względem przedstawia obraz więcej niż smutny. Po pierwsze zdolności jej i chęć pracy jest minimalna, po drugie wysiłki jej skierowane sę zgoła w innym kierunku, po trzecie, ulegając tradycji polskiej nie mającej nic wspólnego z tak postawionem zadaniem, dyskwalifikuje i degraduje siebie inteligencja ta bezustannie.

Zastanówmy się, co to jest inteligencja? Zobaczymy, że najznaczniejsza część warstw „myślących“ jest związana z interesami wręcz sprzecznemi interesom klasy pracującej. Gdybyśmy nawet zapomnieli o tem, że przewaga tych ostatnich interesów musi wywierać wpływ ogromny i na pozostałą mniejszą część inteligencji, to i tak jeszcze, niezależnie od tego, charakter tej mniejszości przedstawi się nam bardzo wątpliwie. Na mniejszość tę będą składały się pewne odłamy i jednostki inteligencji zawodowej oraz inteligentny proletarjat. Ten ostatni wywiera przeważny wpływ na tworzenie się nowych kierunków w literaturze i w życiu idejowem. Pod względem warunków życiowych w jakich znajduje się ta warstwa ludzi, nie trzeba zapominać, ze ulega ona tak samo, jak proletarjat przemysłowy zmiennym warunkom życia, a pozbawiona związku z procesem wytwórczym, porozbijana na oddzielne jednostki czuje podwójnie i potrójnie swoją bezsiłę wobec życia, którego nie pojmuje. W literaturze polskiej znajduje ona mało elementów, które mogłyby jej dać oparcie; przeciwnie aż nazbyt dużo poetyzujących niemoc, bezsilne rozmarzenie. Nowoczesna literatura polska z tych właśnie wyrasta socjologicznych podstaw. Jest to literatura wydziedziczonych maminych synków, stanowiąca, jako czynnik rozwoju społecznego ferment rozkładu, niemocy i zguby.

Czy jest jasnem teraz, że my w Polsce, w sferze inteligencji, literatury, risum non teneatis—filozofji polskiej, polskich prądów kulturalnych, ruchów etycznych, zjazdów kobiecych, katolickich wolnomyślicieli, nitscheanistów, buddystów, próżniaków wszelkich odmian i odcieni, altruistów, . moralistów, możemy mieć tylko wrogów.

W samej rzeczy. Inteligencja polska potrzebuje zabawy, inteligencja polska — to raut mesjaniczny, to gawiedź, czekająca, aby za pomocą tej lub innej etykietki usprawiedliwić swe leniwe istnienie. Czem możemy my być dla niej? My nie przynosimy cudotwórczych formuł, my nie mówimy: wymawiajcie te lub owe wyrazy a zbawieni będziecie, lecz tylko domagamy się pracy nieustannej, surowej; nie przynosimy formuły, pozwalającej pozostawać tem czem się jest, a wydawać się sobie czem innem, nie mówimy, że utrzymywacze domów publicznych stają się aniołami przez rozczytywanie się w Lutosławskim, nie mówimy że jest dość płakać na „Wyzwoleniu“ aby temi łzami okupić mord nieustanny spełniany przez nas wszystkich na miljonowych pracujących masach ludu polskiego. Policzcie tych wszystkich polaków, te niezliczone miljony, które giną bez jednej myśli ludzkiej, oddane na żer klechom i znachorom. Policzcie, zważcie ten ciężar straszliwy pracy, nędzy, to wszystko po czem my depczemy jak po ziemi. Usprawiedliwienie nasze wobec tego, to że my wytwarzamy myśl narodu. My nie bierzemy na łekko słów. Każda myśl, każde słowo wypowiedziane w polskim języku, każden dzień przeżyty przez Polskę próż-

---

— To ty bedziesz tu psiakrew rajcowała, a obiadu nima? A dzieciska gło... — i on urwał przemowę, poczuwszy ciepłą jeszcze „przylipką“ kopystkę na gębie.

— Ścierwo baba — mruknął spluwając i poszedł do karczmy.

Lewy policzek Wawrzonkowej, pogłaskany spracowaną dłonią męża, płonął purpurą—jak to mówią: „niby słońce zachodzące“. To też przez parę dni ukazywała złośliwemu światu tylko prawą połowę twarzy.

Poronienie Grajdziny okazało się niezwykle ciężkie: leżała w łóżku przez dwa tygodnie, wyczerpana olbrzymim i powtarzającym się krwotokiem. Na pochówek dziecka pieniędzy dał Pietrucha. Przy tej sposobności prał babę tak siarczyście, że przez dwa dni musiałbył jadać obiady w karczmie: Wawrzonkowa zacięła się i nie chciała gotować, mówiąc, że ją coś nie coś pobolewa.

(Oto jakie były skutki niedbalstwa Icka, przylepiającego na ścianach swej kamienicy „parszywe zliwy“.)

Mocny chłop! — szeptały zachwycone sąsiadki.— Ona nie ułamek, a sprał jom jak gadzine!

— A bo nie widziała pani Drynda jaki ma nos nadchlastnienty?

— Chto?

— A on, Wawrzonek Pietrucha, nie chto inszy. Siekirom podlec cisneła. Tyć-tyć, a by go zaciukała, ino co jom chycił, że mu tylko nos krzyne naddziabneła.

— Czarownica baba! — oburzyła się Drynda.

— A Grajdzina lekuje sie i lekuje, a chłopa ma janioła.

— A bo nie wim? Mój opowiedał, że Mikołaj nagodzioł sie na północki do fabryki, żeby wiency zarabiać.

— To tyż baba bipsztyksy zazira.

— A wicie — przyłączyła się Wiktorja Zarywek— że Wicek meldonkowygo wzienty w sołdaty?

— O rety! ta któż ta starymu da tera na te choćby łyżkie strawy?

— A Zośka! — rzecze Drynda, składając swe piąstki na biodrach — Bo to nie zarabia tym dzierganiem? Po nocach siedzi a haftuje — już dziewucha pobladła... z ty roboty... — kończyła z przekąsem pani Drynda, baba kuta na cztery łapy. Oko prawe „domyślnie“ przymknęła i wodząc drugiem (i tem także) po słuchaczkach, czekała, aż która z nich podejmie przecież sprawę. Nadarzyła się bowiem ponętna sposobność oszczekania Zośki...

Jakoż jednak milczały, jeno głupia Wiktorja Zarywek jeszcze nie tak świadoma wszystkich miejskich „prześpiegów“ spytała dość smutnie:

— O, zaśby obcemu kciała pomagać...

— Hi... — pisnęła baba, jakby ją kto nacisnął — obcy tam nie obcy... Moje panie, gadajom, że Wicek zamykał sie z nio w kuchience: toć tam nie po próżni-

niaków, darmozjadów i Polskę bezsilnie szamocących się dzieci szacheckich, mierzymy tą straszliwą miarą. Nasza podstawa to głodzony, ginący w ciemnocie, nędzy polski lud pracujący. Nasz cel to uczynić ten lud współobywatelem wielkiej, wszechpotężnej ludzkości pracującej. Co nie jest etapem, środkiem, momentem na tej drodze, jest przeszkodą. Czas nie czeka: nie zatrzymuje się ani na jedną chwilę nie przestaje kosić śmierć, ani na jedną chwilę nie przestaje strącać w nicość niezliczonych tłumów istot, które ludźmi z imienia tylko były. I ani na jedną chwilę nie przestaje rosnąć potęga ludzkości naokoło nas, ani na jedną chwilę nie ustają zdobycze nauki, techniki, pracy.

Co godzinę staje się dziś trudniejszą rzeczą być człowiekiem, gdyż co godzinę rośnie wzmaga, się siła, myśl człowieka. Z otchłani swojego potępienia widzi nowoczesna ludzkość szczyty coraz wyższe, pierś jej oddycha coraz potężniej. Lud polski nie zginie. W czeluściach swoich wydobędzie on sam z siebie tę myśl, której mu inteligencja dać nie chce. Dać nie chce, powtarzam, bo do dziś dnia świadomośc pracującego swobodnego człowieka nieodgrywa prawie żadnej roli w życiu Polski kulturalnej. Więc nie o lud tu już idzie; idzie o te wszystkie młode umysły i dusze, które skazane są na pustkę, zgubę, zmarnienie jeżeli nie zrozumieją, że niema przed niemi innej drogi jak ta tylko: wytwarzać myśl, prawo, kulturę polskiej pracy. Nie oglądać się nigdy poza siebie. Każdy przytułek przeszłości jest więzieniem. Naszą siłą jest to, wszystko nasze jest przed nami, nic nas nie odciąga wstecz, nie budujemy nic innego, prócz tego gmachu jaki wznosi sama ludzkość pracując i myśląc. Nie przynosimy żadnych pociech, ani obietnic, ale dla myśli dla duszy dajemy życie pełne trudu i znaczenia, życie w którem żadna godzina nie mija bez wartości. Nędzarze i bezdomni jesteśmy jedynymi którym życie nie odbiera nic, a wszystko daje. Naszą jest każda zdobycz nauki, naszem jest każde drgnienie duszy ludzkiej, budzące w niej swobodę i siłę, naszą jest każda zdobycz, techniki i pracy. Nie mamy środków na nieśmiertelność. Życie nasze przemija, jak wszystkich innych, ale pragniemy, aby z żadnej naszej chwili nie wyrastało nic prócz tego, czem ludzkość swobodna sobą rządząca żyć będzie.

St. B.

Z LITERATURY POLSKIEJ.

O „SKAŁCE" i „POWROCIE ODYSSA" WYSPIAŃSKIEGO.

Twórczość dekoracyjna Wyspiańskiego ma charakter wybitnie dramatyczny. Wystarczy przypomnieć jego wielkie dzieła witrażowe, aby mieć wyobrażenie o potędze linji i wyrazu wewnętrznego, który ujawnia się w całkiem specyficznych formach zewnętrznych.

Jest w nich jakaś romantyczna rozlewność, a przedziwne zgęszczenie wyrazu, jest w nich zamknięta Jedność, a przecież rwanie się ku nieskończoności.

Przez to dobywa się syntetycznie napięcie dramatyczne: wielki ból lub wielki czyn zamknąć w linji nieskończonej i wydobyć z niej tylko jego moc tragiczną, zatracając nieistotne szczegóły; bo w tworzeniu olbrzymów chodzi o wielką Jedność, a nie drobimy cząstek tłómaczących.

Dramatyczna twórczość Wyspiańskiego ma koloryt wybitnie... witrażowy. Pomijając na razie problem symfonji mistyczno-barwnych widzimy, że bohaterowie jego dramatów wynurzają się z mroków przeszłości w całej zbroi i wielkim ruchem lub gestem aktorskim uderzają w niebo. Nie ma w nich żadnych załamań, ale stoją, jak posągi Tytanów wielkie i nieskalane, a w Jedności bólu i tragedji wieczne.

Zdaje się, że nieraz wyczuwać można doskonale wszelkie linje dekoracyjne, które danej postaci nadają piętno ruchu lub rzucają na jej czoło zagadkę myśli. Chwilami pogrążamy się z Wyspiańskim w otchłanie przepaści, ażeby znowu lotem błyskawicy wydobyć

---

cy... Ona starymu sie przypodchlibia, a stary jak stary, ciapa, to i na dziewuchie nie krzywy.

— Abo to starymu długo, abo i dużo potrza? Jak Wicka wezmom, to sie z żałości zwali...

— A wsyćko bez tygo łajdusa rzońca — warknęła Kopciuch.

— A to jak? — pyta zaraz ciekawa (ta nieświadoma) Wiktorja Zarywek.

Ale zaczem Kopciuch spostrzegła się, że jest zapytaną, zaczem się „przymierzyła" aby odpowiedzieć — już Drynda wlazła jej w paradę.

— A to ja paniom zaraz opowim — zaczęła, układając ręce na brzuchu. — Kiedy nastał — niby rzojca — powieda do Suckiewica: no, mój panie Suckiewic! Tamten — niby rzojca — dawał panu pientnaście rubli miesincznie za meldonki, bo móg, a ja nie mogie. Jak pan chce mój — powieda — panie Suckiewic, za pinć rubli, to — powieda dobrze, a jak nie, to nie! A stary w te znowu słowa: — Jak mi pan nie da pientnastu, to zgine. — A rzojca na to w te słowa: — Jak ja panu, mój panie Suckiewic, dam rubli pientnaście, to zgine. To pan, panie Suckiewic, chces (tak prawi ta pijawa) — to chces mie zgubić? i posed i nie dał!...

Zamilkła baba i spojrzała w okno pana rządcy.

— Złe mienso — mruknęła Wiktorja Zarywek.

A Władysławowa, żona Władysława, czyli człowieka do posług przy panu „rzojcy", kobieta mądra, „lizuchem" zwana przez sąsiadki, rzecze, czyniąc przygnębiony wyraz oblicza:

— Ha... jego prawo.

— Jabym mu w ślipie napluła za takie prawo! — człowieka zgubił, psiawiara!

— Nie gagajcie, nikto nie zginie — uspokajała Władysławowa, pierająca u pani rządczyni.

Toć nie zginie, ale głodem przymiera... Staremu tyż nie rarytes bedzie życie...

— Mu synowa pomoże, jakoście powiedzieli.

Przedmiot rozmowy obojętniał i kto wie co by się stało; możeby się baby porozłaziły po izbach, gdyby nie napór krasnomówstwa, jaki poczuła Wiktorja Zarywek, choć zwana „chamką", ale słuchana dość chętnie.

— Kużden ma swojom bide. U mnie nie poli sie pode blachom: ani powiedam wam wody zagrać, ani łyżki strawy uwazyć. Ide do rzojcy — nima go. Ide drugi raz — nima. Cóz u Boga miłosirnygo? nogi zachodze, czy co? — myśle sobie. Aze tu ide kiedyściś— je. Psekładom mu tedy jako je, a on pedo: — niech was psyńdzie sam. Nie wy, kobito, — pedo — płacita za mienskanie, nie wos bede słuchoł. — Ha! — pedom mu na to — jakze mój mo do pana zojcy psyńść, kiej pana zojcy, z pseprosyniem, nigdy w domu nima!—A on pedo: — to po co psyłazita po próżnemu? Ino sie złazita, zamiast co uprać, abo dziecioki opatsyć! Tego juzem nie ścirzpiała. Wywarłam tedy pysk: — to za komurne — pedom — piniendze biezeta, a starunku nijakigo nie mota? To lekatur, jak ten pies ma sie wałensać po cudzych kontach, a ognia skamłać? A zem słychała od mygo, ze jak mu ten nygus nie zrobi pieca, to

z nich myślą geniusza, wielką, skończoną — a nieskończoną, miękką — a — spiżową postać bohatera.

Jest w tem dziwna tajemnica tworzenia, której istoty dojść trudno; jest w tem tytaniczna moc bohaterów Michała Anioła i miękki romantyzm niektórych postaci Wagnerowskich; jest synteza dwóch światów, rozpalona ogniem geniusza, który najwyższe formy myśli tragicznej zaklina w jeden gest, w spiżowy ruch, w zwrotkę pieśni.

Wyspiański jest dramaturgiem par excelence. każda linja jego pędzla, każda myśl jego dramatu jest zamkniętą w sobie negacją, epigramem, lapidarnym skrótem dramatycznym. A jeżeli zejdziemy do głębin jego myśli, i dotrzemy do źródła, z którego wielkie syntezy rzuca w świat, to w zaczepieniu myśli twórczej dojrzymy tragiczną walkę o Prawdę życia, bezwzględne zdzieranie maski z twarzy i wystawianie sumienia ludzi na działanie Słońca i Czynu.

W twórcy rozgrywa się tragedja walki, a to, co dochodzi do nas w cudownych wizjach dramatycznych jest często słabem echem szamotań się, odsłania tylko cząstkę tragicznej Prawdy, która nigdy spełnić się nie może, bo wtedy sama sobie stanie się zaprzeczeniem.

„Skałka“ jest wielkim fragmentem kolosów. W kompozycji zwrotkowej o wybitnym nastroju muzycznym, przypomina nam w koncepcji bohaterów potężne, niedokończone, ledwo zaznaczone torsy Michała Anioła, które mają jednak tyle wyrazu, że wewnętrzna siła każe nam zapominać o brakach wszelkich i w konturach domyślać się głębi i prawdy.

„Skałka“ jest jednym z etapów Króla Ducha. Ale Wyspiański — jak jego „Kaźmierz“ — uderza taranem w trybunów narodu, którzy wiodą go w ruiny cmentarne i w dziedzinę płaczliwo-romantycznej poezji.

Tu leży zasadnicza nuta tragicznej walki Wyspiańskiego. Przez Śmierć nie ma wyzwolenia narodu, przez Chrystusowość jego niema odkupienia, precz z poezją ruin.

I w „Skałce“ pisze o św. Stanisławie: „Tak będziesz wielki palić Znicz nad przyszłe pokolenia“.

Legenda o biskupie krakowskim jest dla Wyspiańskiego ogniwem w jego historjozofii polskiej.

„*Naród się męką w życie rwie* i idzie śladem świętej krwie, *przez mękę krwi poczęty*“.

W wielkich liniach kreśli nam poeta konflikt o władzę i Prawdę między św. Stanisławem a Bolesławem Śmiałym. Historycznie biorąc jest to jeden z fragmentów ogólnej walki europejskiej o supremację władzy duchownej nad świecką.

Biskup „w stroju i zbroi Archanioła“ — symbol ecclesiae militantis — mówi: „Jest on (Bolesław) narodom król, w koronie, którą ja mu wdział, niech wie, że ludom król, król drugi będę przed nim stał.

Ale walki tej, mimo układów z pretendentami do ziemi polskiej, nie traktuje poeta, jak zjawisko historyczne. Intuicja jego sięga głębiej, poza wszelką przypadkowość życia i w przemożnej tęsknocie do stworzenia Królestwa Bożego na ziemi, każe biskupowi zerwać się do walki.

Zwycięski Kościół zwalił w gruz świątynie pogańskie, a ostatni Rapsod, cudowny król legend słowiańskich, dla odzyskania zabranej Liry woła do biskupa: „Bez niej życie już dla mnie na nice, w niej me wszystkie zwarte tajemnice, zezwól klęczeć bym o nią dziś żebrał“.

Ginie królestwo pogańskie pod żelazną stopą walczącego biskupa, walą się w gruzy bóstwa i święte posągi, gontyna rozsypuje się w nicość, ale pozostał Król wielki, co zadaje kłam prawdzie Stanisława i z nim toczyć się będzie bój.

W cudownie wizjonerski sposób rzuca poeta w życie dramatu wszystkie zaklęte duchy świata pogańskiego, które, jak wrogie potęgi złośliwe, walczą z Księciem Kościoła, aby w chwili jego potęgi ukorzyć się przed nim i stworzyć mu drogę grzechu.

Krasawica i Rapsod uchylają czoła przed bisku-

---

pońdzie do gospodoza, wienc i jo mu pedom: — zojcy psie prawo staranie o lekaturów mić — a nie — to pońde do gospodoza! (mówiąc to Zarywek aż przysiadła). A un — pedom paniom — ino sie uśmichneł. Myślałam, ze sie ozgniwo, abo i w pysk wyrznie; niechta! — myśle sobie, ale mu powim! A un sie — pedom — uśmichnoł i prawi: — A to idźcie do pana gospodoza: zrobi kotline, jesce sie wam pokłoni i pseprosi. To mie tak wzion, zem stuliła giembe i zem wysła.

— No i co?

— A no mój pedzioł, że sie z nim rozmówi, ale bo to go mozno kiedy przydybać? lata i lata!

— O, drań ci on jes, sprawiedliwie mówicie — zaczęła z westchnieniem Kopciuch — a kwardy, kiej sie chce odnowić izbe, ze strach. Sprowadzilimy sie do ty chałupy na jesiń. Wzielimy pominskanie na trzecim. Ano, wchodze, oloboga, jakie brudy! Bo to wiecie kto tam miszkał...

— Chtóżby to beł? — pyta zaraz nieświadoma stosunków Zarywek.

— Dyć Mikołaje Grajdy, nowopoślubione, to tyz zapuściły izbe, jak chliw. Ano, idzie mój do nasygo nygusa i ugadzo sie, ze izbe odświzy. Pominskalimy tam dwa miesiundze, ale ze akuratnie na piersym sie opróżniło, wienc sie mówi, ze sie pseprowadziewa. Ano, izba znouj brudna. Znouj nygus nie kce odświzać, ale musi. Takemy się pseprowadzaly do dziś dnia razów pińć, a on zawdy odświzał. Az tu na ten miesiundz opóźnia sie miskanie w popsecny oficjenie. Ja do rzojcy, a on pedo: nie odświze. Bez co? — pytam. Bo malorz sie powiesiuł... O mój panie! Psecież tam takie brudy—jakze to bedzie? Moja pani — on mi na to, jabym wsystko zrobiuł, ale cóz, kiedy malorz sie powiesiuł! No i gadąj tu z takim. I tera, co chtóra psyńdzie, ze sie pseprowadzo i zeby odświzył izbe, zawdy powiedo, ze onby z własny woli odświzył, ale nijak nie moze, bo malorz sie obwiesiuł! Ale to jesce nic — ciągnęła baba, przełknąwszy ślinę — wiedzieliźwa od Marchiewków, ze jeich izba idzie rubli siedym na miesiundz. A on powiedo, ze ona idzie siedym rubli kopijek dwadzieścia i pińć. Jakze to, pedom, kiej Marchiewka płaciuł siedym rubli bez nijakich kopijek? A on pedo, ze kciał właśnie podwyzsyć komurne. Machnelim tedy renkom i ostalim na starym mienskaniu. Źle tam nie je, ale zawdy markotno, ze nima nowy izby.

— Abo moja pani z temy suplekaturamy! — przypomiało się Kopciuchowi — tyle sie nawydzyznia, jakby to już beło coś wielkigo w ty ksiendze piórem pogryzmolić, ze ten sie sprowadzo, a insy wynosi. Nygus on ci je nima co gadać.

— Ano, juści to jemu dziwne: sam minska w pińciu izbizkach, to sie wydziwia, ze człek bidny jedny ma pszydużo... Alem się zagadała! słońce spado i starygo tylko patsyć... Dowidzynia moje panie! Trza tam coś nie coś przeprać dla dziecisków na niebziele...

Drynda odjechała.. *Eik.*

pem, a on wyrusza na czele chłopów do Króla, aby mu klątwę obwieścić.

I tu załamuje się jego potęga...

Bo w poczuciu wielkiej Prawdy i walki za Świętość, w anielskiej czystości czynu wzywa lud na wielki sąd przed Bogiem: „Jaką winę w duszy masz, niech przed Tobą stanie w twarz..., kto się czuje wolnym plam, kwiat z ołtarza zerwie sam“.

W białej szacie ofiarnika z wieńcem kwiatów na skroniach odprawia modlitwy.

Wtedy staje przed nim Śmierć...

Wydobył tu poeta genialny motyw tragizmu biskupa. Wielki czyn, wielka Prawda w imię której walczy Stanisław, staje nagle przed nim, jako „prawdy kłam“. Walka jego była walką zła, bo ubiegł sąd Boży, i sam wyrok potępienia rzucił.

Święte koło Korowaju, co symbolem było jedności, spłonęło w świątyni, a w dłoniach biskupa w proch się rozsypało. Biskup był prorokiem Błędu w prawdzie i dlatego Śmierć rzuca mu straszny wyrok potępieńczy. „*Gdy żywi życiem zaczną żyć, z żywemi ty nie możesz być*“. A „prawda twa we Śmierci ino wiecznie trwa“.

Bo droga prawdy prowadzi jedynie przez grzech, a on wziął na siebie najcięższą z win, bo rzucił klątwę na Króla. I biskup w pokorze odprawia modły za Bolesława, którego „Bóg wybrał na sędzię“ a w modlitwach gotuje się na śmierć.

Niepodobna tu wyczerpać wszystkich klejnotów, z przecudnej skarbnicy pieśniarskiej i wizjonerskiej, jakie rozrzucił Wyspiański w „Skałce“.

W dramacie, który jest właściwie szeregiem intermedjów Bolesława Śmiałego, ale w tragizmie Biskupa tworzy skończoną całość, rozgrywa się w każdej scenie tyle życia i walki, słychać zwrotkowe pieśni i długie w takt poważny wlokące się tyrady, a wszystko wydobyła dziwna, Wyspiańskiemu jedynie właściwa sztuka uchwycenia nastroju i wydobycia symbolów.

Świst, Poświst, Krasawica, Pandora, Rusałki, Koło Korowaju, — to wszystko syntetyczne skrócenia, przez które poeta wyraża całą nieskończoność uczucia, stawania się światła.

Każdy liść mówi tajemniczą mową głębin, każda struna liry drży wielką pieśnią wróżebną.

A na tem tle, które w całości swej uderza w ucho, jak miękka symfonja muzyczna, wydobywają się w ostrych konturach postaci Biskupa, Rapsoda i Śmierci.

W nie zaklęta jest przeszłość i przyszłość Polski, w nich sąd wieczny.

I nie darmo mówi pogański Rapsod do Biskupa, wskazując na rzezane posągi zwalone i porzucone na kruchcie: „*Ich dola będzie twoja*, nie troszczyły się, gdzie pieśń mnie wiedzie moja. Od ciebie do mnie ta jedna jeno droga“.

A potem Śmierć powtarza mu refrain wyżej przytoczony: „Gdy żywi życiem zaczną żyć z żywemi ty nie możesz być“.

Słyszymy tu nutę nie nową wprawdzie, bo przewijała się już ona w Legionie, ale słyszymy ją wyraźniej, pełniej; przynosi ona ze sobą niezwykły urok romantyzmu polskiego, a wzbogacona potężnym wysiłkiem myśli może kiedyś zagrzmieć jak surma bojowa. Dalszych konsenkwencji na razie wyciągać nie chcemy.

W rozwoju ideowej myśli Wyspiańskiego widzimy jakąś tytaniczną negację uświęconych prawd, przewartościowanie wartości i burzenie starych tablic nie drogą analitycznego rozumowania, ale genjalną intuicją twórcy.

I w łańcuch prawd, przez siebie kowanych, — a prawdy te w epigram ujęte piętrzą się na sobie w ostatnich zwłaszcza dziełach poety—nagina twórca z apodyktyczną koniecznością wewnętrzną to, co było pozornie dalekiem lub sprzecznem. W docieraniu do głębin umie artysta doszukać się tak niezwykłych i genjalnie śmiałych rysów, że z pod pióra jego wychodzi postać wprawdzie zewnętrznie ta sama, lecz wewnętrznie inna, pogłębiona i stokroć prawdziwsza.

Dlatego niezmiernie interesującą jest kwestja stosunku Wyspiańskiego do postaci przez siebie stworzonych, które historycznie ogólnie znane n. p. Bolesław Śmiały, Kazimierz, Mickiewicz, Odysseus, przez pryzmat jego twórczości wychodzą inni, odrodzeni, potężni w ogromnej walce tragicznej.

A z tego dojdziemy do najgłębszej prawdy Wyspiańskiego, która streszcza się w pojmowaniu świata i jego zjawisk

Obecnie zatrzymamy się na ostatnim dramacie Wyspiańskiego „Powrót Odyssa“. Po fragmentarycznie i syntetycznie nakreślonych postaciach Skałki, daje nam Wyspiański w ostatnim dramacie tragedję Odyssa, doprowadzoną do ostatecznych głębin i mistrzostwa psychologicznego; tło tragedji o silnem napięciu dramatycznem, które skondensowaniem nastroju i wytwornym djalogiem — zwłaszcza w akcie pierwszym—żywo przypomina najlepsze sceny dramatyczne Szekspira. Akt ostatni (trzeci) jest silnem zerwaniem i wyzwoleniem się z wybitnej formy dramatycznej, wywołanem jednak poniekąd właściwem zakończeniem akcji, opierającej się o zjawiska zewnętrzne, a koniecznością rozwiązania tragicznego konfliktu w samej duszy bohatera; monologi lub improwizacje wizjonerskie z natury rzeczy nie mają charakteru dramatycznego.

Mówiąc o formie dramatu, musimy zwrócić uwagę na silne poczucie sceny i plastyki ruchu, jakie w ostatnim dramacie samorzutnie na pierwszy plan są wysunięte. Wyspiański podawał dawniej objaśnienia rymowane, teraz zarzuciwszy je prawie, stara się krótkiem, a dobitnem określeniem nazwać lub wytłumaczyć stany duszy, przez podanie gestu, mimicznej gry twarzy i t. d.

W „Powrocie Odyssa” spotykamy naprzykład wiele scen mimicznych o niezwykłej piękności plastycznej, które poeta—patrząc na nie okiem dramaturga — zakreśla tylko wyznacznikami z nawiasów.

Do takich należy poznanie Odyssa przez Penelopę. Tekst u Wyspiańskiego brzmi: „Penelope (zstępuje do połowy schodów, przystaje). Wszyscy (uciszają się, pochylają głowy). Odys (wśród *wszystkich do pasa* zgiętych *stoi* sam jeden *z podniesioną głową. wyprostował się*, patrzy w żonę). Penelope (przez tę chwilę, gdy wszyscy schyleni *oburącz podnosi zasłony, do twarz jej zasłania, rozgląda się po sali, patrzy w Odyssa, poznaje, opuszcza zasłonę*): Wznieście głowy. Wszyscy (podnoszą głowy“.

Odnosi się wrażenie jakiejś majestatycznej, a poważnej pantominy tragicznej. Perspektywa sceniczna rozszerza się u Wyspiańskiego w nieskończoność, a posługuje się pozornie krótkim, ledwie znaczącym gestem, spojrzeniem. Są to bezsprzecznie nowe pierwiastki, które,—w dawnych tragedjach retoryczno-patetycznych prowadziły ad absurdum— mogą, umiejętnie stosowane, doprowadzić do niespodzianych wprost konsekwencji dla rozwoju teatru i sztuki aktorskiej.

Bo Wyspiański, autor „Hamleta“, jest również

genjalnym reżyserem, reformatorem i twórczym teoretykiem gry scenicznej.

W „Powrocie Odyssa“ nie ma właściwie wybitnie nakreślonej akcji zewnętrznej; wszystko, co się dzieje, skupia się w jednym momencie, jest niejako illustracją i motywem dla rozwinięcia wszystkich pierwiastków tragizmu u Odyssa. I istotnie Wyspiański stworzył w tym bohaterze klasyczną niejako postać bohatera tragicznego, który w walce wewnętrznej przechodzi liczne etapy mózgowe i uczuciowe, dochodząc w końcu, do ostatecznej Karma, do Wybawienia.

Tragedja mimo pozorów zewnętrznego balastu antycznego jest pojęta i przeprowadzona wskroś modernistycznie. W przeciwieństwie do „Meleagra“ i „Klątwy“, które w koncepcji fatalistycznej nie odbiegają od ogólnych zasad dramatu klasycznego, widzimy w Odysie, że fatum, o którem mowa nie następuje z zewnątrz, pod jakąkolwiek postacią walczące z bohaterem; tu klątwa, przeznaczenie, idzie z głębi Odyssa, on wie o niem, walczy, broni się i nie upada. Odys mówi: „Zabić! *Ot to czyn mnie znaczon*, na to byłem urodzon i na to przeznaczon *i przed tem precz uciekłem i wracam dla* tego,..

Subtelnie wydobył Wyspiański głęboki motyw tragizmu Odyssa, który zasadza się w ustawicznej osylacji między *Świadomością a Wolą, między tęsknotą do spokoju, a zapalczywem zaślepieniem, zalewającem mu mózg, między bojaźnią świadomą dokonania zbrodni na ojcu Laertesie, a wewnętrznem, pozaświadomem pożądaniem jej spełnienia.*

Odys wraca na Itakę w stroju żebraka, aby przyjrzeć się zdaleka rodzinnemu ognisku i zniknąć. Bohater, złamany, party wewnętrzną żądzą spełnienia klątwy, którą jest zamordowanie ojca — kłamie, sam siebie oszukuje. Wyczuwamy tylko, że mimo zniżonych dłoni i mocarnej postaci, krok jego jest drżący, niepewny, przyczajony.

Nic to, co naokoło niego się odbywa. Rozmowa ze starym sługą, która kończy się zabójstwem sługi, odkrywa nam na chwilę krwawą głębię duszy bohatera. Nurtuje go głucha, ślepa żądza zabicia Laertesa, ale ogłusza ją tak, jak dawniej potokami krwi.

A skoro daje się poznać synowi swemu, Telemakowi, mówi: „Nie pytaj, jakem przybył... *i przed czem uciekałem*, aż na wód bezbrzeże, *ku temu prze mnie siła*, w którą jedną wierzę“. A gdy Telemak w zapamiętałości w obronie domu i swej woli woła: „Ja jestem panem, jakoś ty był tyranem, ja będę tyranem“—odsłania na chwilę tylko Odys tragiczną głębię swego bólu. „Zamilcz dziecko, opętał cię duch, krwi ty moja... Ja to mojego ojca precz wyzułem z władzy, ja psami precz za dwór wyszczułem... *Patrz na męki*...“

W tem leży istotna tragedja głębin Odyssa. Wszystko inne powtarzamy jest nieistotne. Tej głębi się Odys boi, ucieka przed nią i krwią ją zalewa. I dlatego „radośnie“ jak podaje autor w nawiasie — dowiaduje się, że gachowie są u Penelope, „ale nie zemsta nad ludźmi mię cieszy, lecz że idę wbrew Doli, wbrew temu co chciałem. W niepamięć idzie Los i złe, co mnie przeklęło, zapominam mej klątwy, (swobodnie) już zerwane pęta“.

Dobywam tu rozmyślnie podwójną kategorję myślenia u Odyssa, to, co u nas się utarło pod nazwą pałubizmu. Odys nie wierzy w to, że zerwane pęta, chociaż zobaczył w gachach ofiary swojego miecza. Fatalistycznej tęsknoty za zabiciem ojca nie pozbędzie się, ale ją zdusić, przytłumić potrafi.

I dlatego tak rozumuje, i dlatego jest przez Wyspiańskiego, jak zaznaczyłem, wybitnie modernistycznie ujętym. *Walka tragiczna odbywa się w nim samym, a nie po za nim, on jest negacją i potwierdzeniem, jest „Ja i nie-Ja“, jest bojaźnią prawdy. i odwagą kłamstwa.*

A mimo tego analitycznego zróżniczkowania, żyje potężnym i mocarnym.

Odys zostaje na dworze i dokonywa dzieła zniszczenia, morduje zalotników przy pomocy Telemaka; *nie zna litości, bo litość w nim może zbudzić otchłanie, może stać się spoczynkiem w mordzie i refleksją.* (Stąd otwierają się nam perspektywy odnośne do Wyspiańskiego, których na tem miejscu poruszać nie możemy).

Ale w chwili ostatecznej zjawia sie Laertes.

Z błyskawiczną myślą przejrzał Odys wszystko. „Ha! (otwiera oczy, jakby przejrzał nagle) Ha!... A! (uderza się w głowę) Precz te myśli“.

Stacza wielką walkę w sobie, którą chce przesłonić błagalnem słowem. Litości *prosi* od ojca za swoje winy, ale jej *nie chce* I „nagle wyrywa sie im gwałtownie, patrzy w ojca, już ma się ku niemu rzucić w nienawiści, gdy nagle się pochyla... ucieka i przepada“.

Genjalnie uchwycił Wyspiański, że na walkę tragiczną o tak ogromnie wyżynnem a bezpośredniem napięciu niema słów, że w dramat najplastyczniej można zakląć gest. I dla tego ograniczył się tylko do wskazówek mimicznych, które same dla siebie mają znaczenie dla zrozumienia utworu.

Jest w Odysie klątwa, której on uledz nie chce i nie ulegnie; jest ból pożądania grzechu, pod którego ciężarem ugina się bohater, ale zrzucić go nie może, jest przeznaczenie, które w duszy jego spustoszenie szerzy, a na zewnątrz dobywa się tylko konwulsyjnem drganiem.

Wybawienie, wyzwolenie z tego krzyża jest jedynie w samozniszczeniu, w Śmierci; nie ma największy Tytan mocy zrzucenia klątwy, którą mimo wszystko ukochał, ale jest obłędna siła w każdym, aby znaleść odrodzenie w Smierci.

I Wyspiański tą drogą wiedzie Odysa.

Nad brzegiem morza w obłędnych, cudownych wizjach dokonywa się konsekwentnie pomyślana praca oczyszczająca.

Ciężarem „przeklętej myśli“ gnieciony czołga się Odys nad morzem. Zbrodnie i przypadkowe grzechy jego życia przesuwają się przed oczyma jego myśli pogrzebowych korowodem, do olbrzymiej Łodzi Zapomnienia i Śmierci.

Morze przed nim i.. myśl niezbyta; jedyna myśl — myśl boskie wiano.

Jego jedyny grzech.

W pięknych akordach zwrotkowych, o niezwykłem bogactwie muzycznem i myślowem, śpiewają mu Syreny ostatnią pieśń Życia. W symfonicznym kalejdoskopie prawdy przesuwa się przed nim historja jego szamotania się i walki. Odys przechodzi wewnętrzną próbę oczyszczenia. A idąc w morze, wśród burzy i gromów mówi: „Ja nie pamiętam nic. Źle co czyniłem; pieśni o mnie śpiewają; nie znam nic, nie pomnę“.

Odys staje nad otchłanią obłędu, dwie myśli, dwie tęsknoty, — do spokoju i mordu, — które żarły mu duszę i nerwy, dobywają się teraz w jednym wielkim akordzie. Pozorny to obłęd i brak świadomości; a przecież głębiej idąc wielkie zwycięstwo *nad bojaźnią prawdy i odwagą kłamstwa własnego.*

Dwie linje, które biegły równolegle, zlewają się w jedną o nieskończonym konturze, u którego szczytu Śmierć.

Innej drogi nie ma; chyba powrotna, którą prze-

żył i która stanie się znowu w swej dwoistości zwiastunką klątwy i męczeństwa.

W ten niezwykły sposób rozwiązał poeta tak zawiły problem wewnętrznego tragizmu bohatera.

Ale żadnej nici nie wypuścił z dłoni, wszystkie mistrzowskiem snuciem kompozycji doprowadził do spełnienia. I z tragizmu zewnętrznego, który nazwałem przypadkowym, nieistotnym wyzwolił się Odys równolegle. Liczne ofiary ludzkie, które padły z jego rozbójniczej ręki, a padły dlatego, bo miały być odkupieniem za niespełniony, a pożądany czyn, odjeżdżają na wielkiej Łodzi przebaczenia. Odys widzi je w obłędnych wizjach i mówi: „Minęli skał wyrzut. Szybko biegą... chcą mi powiedzieć.. słowa, *chcą przebaczyć może*. Coś wołają, skarżą się, weselą. W zaświaty płyną, *w zapomnienie*".

Wielkim, lecz zgarbionym ciężarem życia żył Odys, wielkim a wyzwolonym ginie. W obłędnych wizjach, w gromach błyskawic dopełnia się jego tragedja wewnętrzna.

Poza nią niema rozwiązania... jedynem Śmierć. Odys ginie, bo nie mógł zwalczyć w sobie pożądania za zabójstwem ojca, a nie chciał mu uledz; ginie, bo wie, że zbrodnie dalsze nie ugaszą płomieni Przeznaczenia

Wielką jest tragedja Odyssa, genjalnie przeprowadzoną. Chwilami z trwogą cofamy się przed głębiami, które intuicyjnie a ze swobodą twórcy odsłania nam poeta.

Niedola Odyssa kruszy nas, podnosi; pięknym jest zawsze, czy w porywczem zaślepieniu, kiedy morduje uderzeniem pałki niewolnika swego lub gdy stoi, jak posąg w łachmanach otoczony zgrają gachów schylonych przed obliczem Penelopy.

W słabości swej jest Tytanem, w potwornych zbrodniach — majestatycznym

...W tem leży tajemnica wielkich bohaterów Tragedji. *Emil Breiter*.

E C H A.

NĘDZA GALICYJSKA A EMIGRANCI Z KROLESTWA.

Konserwatywny odłam ludności polskiej w Galicji, który wobec słabości liczebnej klasy robotniczej niedostatecznego uświadomienia włościaństwa, wciąż jeszcze reprezentuje tutaj „społeczeństwo", zawsze żywił pewną niechęć do królewiaków; w ostatnich wszakże czasach, gdy wielotysięczne tłumy emigrantów wtargnęły do Galicji, szukając chwilowego przytułku, niechęć klechów, stańczyków i patrjotycznego drobnomieszczaństwa wzrosła do rozmiarów nienawiści i dziś nie stanowią już rzadkości zdania okrutne w rodzaju: „dziwne, doprawdy, dlaczego rząd nareszcie nie powyrzuca z Galicji tych królewiaków!.."

Boleśnie skarży się na taką tolerancję rządu i stały korespondent „Dziennika Poznańskiego" w № 223 tego pisma. $^3/_4$ korespondencji jego, specjalnie poświęconej sprawie p. Krahelskiej - Dobrodzickiej zajmują zarzuty przeciwko królewiakom. Ponieważ są one mniej więcej te same, co i typowe zarzuty galicjan przeciw nim, warto się wywodom tym bliżej przyjrzeć i przekonać o ile są uzasadnione.

Autor korespondencji zdaje się wogóle i z zasady jest wrogo usposobionym względem wszystkich, bez wyjątku „rodaków zza kordonu" — bogatych czy biednych, inteligientów czy robotników, uczciwych czy nieuczciwych — nazywa ich „dziwnemi ludźmi, z któremi nie zawsze byłoby miło spotykać się o spóźnionej nocnej porze na odległem samotnem miejscu", twierdzi przesadnie, że w Krakowie w ostatnich czasach zwiększyła się liczba podejrzanych, nie budzących zaufania indywidów, zmniejszyło bezpieczeństwo publiczne", i, uogólniając parę przestępstw, dokonanych przez szumowiny z Królestwa, na wszystkich emigrantów, czyni ich odpowiedzialnemi „za kilka zuchwałych zeszłorocznych napadów, których sprawców nie zdołano wykryć", albowiem w Galicji coraz bardziej rozpowszechnia się pogląd, że o ile przestępcy jakiej zuchwałej zbrodni wykryć niepodobna, może być nim tylko królewiak'

Pozatem korespondent „Dziennika Poznańskiego" przypisuje emigrantom wszelkie zło, jakie obecnie dotyka Galicję, a więc: podrożenie mieszkań i produktów spożywczych, brak pracy i t. d.

Naogół zarzuty te, zbyt już często powtarzane w Galicji, są równie poważne, jak oskarżanie Daszyńskiego o to, że zjadł jakoby przed kilku laty gruszkę za 10 koron (fakt, namiętnie wyzyskiwany przez przeciwników politycznych w czasie wyborów), że spowodował ogólną biedę w Galicji, gdyż tyle mówił o niej w parlamencie, że wreszrie kupcy cudzoziemcy uwierzyli w jej istnienie i, straciwszy zaufanie do handlarzy galicyjskich, odmawiają im kredytu („Głos Obywatelski Robotniczy"), za najoczywistszy zaś dowód, że istotnie Daszyński jest sprawcą nędzy galicyjskiej, przytacza się okoliczność, że dawniej, przed jego zjawieniem się na widowni publicznej, — bieda w Galicji nie była tak wielką jak obecnie.

Skargi na bezustanny wzrost cen mieszkań i produktów spożywczych dochodzą dziś z najmniejszych nawes miast galicyjskich, jak Rzeszów i inne, gdzie królewiaków prawie niema. W Krakowie przebywa obecnie — na przeszło sto tysięcy mieszkańców stałych — około 8,000 emigrantów, przeważnie udających się, po krótkim odpoczynku, dalej na Zachód, wątpliwem więc zdaje mi się, aby tak niewielka ilość przybyszów w istocie mogła wywołać w Krakowie drożyznę.

Gdyby jednak korespondent krakowski „Dziennika Poznańskiego" zechciał bezstronnie poszukać właściwych sprawców nędzy galicyjskiej, musiałby ich szukać nie między królewiakami, których eksploatują w Galicji gorzej jeszcze niż krajowców — lecz w rządzie centralnym i krajowym, w zarządach miejskich, które duszą lud podatkami i opłatami celnemi, śród kamieniczników i handlarzy, którzy, wiążąc się w syndykaty, korzystają z każdej sposobności podwyższenia cen, wreszcie — w klerykalnej pladze Galicji.

Autor korespondencji, wspominając z widocznym żalem, że „Kraków musiał się już dawno pogodzić z losem, że stanie się przystanią dla rozmaitych żywiołów, opuszczających Królestwo Polskie z rozmaitych powodów", zręcznie unika określenia, w jak potężnym stopniu królewiacy przyczyniają się do utrzymania Krakowa, tego dziwnego miasta sklepików i straganów, kościołów i klasztorów (na każdy tysiąc mieszkańców katolickich Krakowa przypada 1 kościół lub klasztor; w pozostałej Galicji też nie lepiej...)

Gdyby nasi „rodacy" galicyjscy, a wraz z niemi i korespondent „Dziennika Poznańskiego" chcieli to wszystko należycie sobie uświadomić, nie słyszałoby się zdań podniecających, i bez tego dość pochopne władze krajowe do wypędzania z Galicji emigrantów, których całą winę często stanowi, że urodzili sie w innej częsci Polski.

Pisma galicyjskie — stańczykowskie i narodowe — przepełnione są skargami na niegodziwe postępowanie

władz pruskich w stosunku do polaków, osobliwie pochodzących z innych zaborów. Czyż nie to samo dostrzegamy obecnie w autonomicznej Galicji?... Przecież to w Galicji systematycnie odbywają się łowy na uboższych królewiaków po hotelach i zajazdach, a następnie bezprawne przetrzymywanie ich po aresztach!... Przecież to z Galicji wysyła się masowo „obcokrajowców", pochodzących z Królestwa — z zakazem powrotu kiedykolwiek do Austrji!... Przecież w taki bezwzględny sposób niemiecka Austrja, Czechy lub Węgry obchodzą się z emigrantami nader rzadko...

Migając chorągwią narodową przed oczyma utyskującego na nędzę tłumu i rzucając obłudnie hasła patrjotyczne, przywódcy „społeczeństwa" galicyjskiego wypierają się własnych zbrodni i starają się ich skutki — godni naśladowcy Metternicha — zwalić na biednych tułaczów bez ojczyzny. *Wład. Opat*

JESZCZE O MARJAWITACH.

Zbagatelizowanie sprawy marjawickiej przez prasę nacjonalistyczną—nie osiągnęło, jak się okazuje, zamierzonego celu. Sekty nie obalono, a nawet wzmocniono ją aureolą męczeństwa. Marjawici milczeli długo, ale gdy się odezwali (po zalegalizowaniu ustawy)—ujawnił się ich krytycyzm nieubłagalny ku wszelkim zarządzeniom dyscyplinarnym i politycznym papieża. Ztąd łatwo zrozumieć, dlaczego tak szczególną zaciętością odznaczały się wystąpienia biskupów: Wnukowskiego, Zdzitowieckiego i Popiela. Szło im o władzę własną, o uległość marjawitów, których głównym grzechem było głoszenie faktu *zepsucia* wśród kleru. Marjawici posiadają 1000 skandalicznych faktów, zebranych przez nich i przesłanych do Rzymu. Podobno najciekawszą jest kronika hotelowa. Papież kazał biskupom sprawdzić słuszność zarzutów. Ale, jak twierdzą marjawici, skarga na sędziego oddana jest do osądzenia oskarżonemu. Wyrok więc zgóry przewidziany!

Pan Nie-Marjawita poruszył sprawę wewnętrzną sekty, nieco, co do czasu, przestarzałą. My dodamy trochę „dokumentów" świeższych.

Ostatnia encyklika papieża o modernizmie — ów skurcz konającego na uwiąd starczy organizmu papiestwa — spotkała ze strony marjawitów ostrą odprawę. Potępiają oni system cenzury, zalecanej przez papieża, oburzają się na środki, stosowane względem opornych, drwią z zarządzeń dyscyplinarnych, represji, które (powiada „Marjawita") „zabijają raczej, niż ożywiają ducha". „Między środkami represyjnemi — pisze jeden z księży modernistów włoskich—są niektóre wręcz nieszlachetne. Myśląc o tym arsenale represji Piusa X nie podobna oprzeć się wspomnieniu o papieżu Lucjuszu III, który przed 8 wiekami (1186 r.) na synodzie w Weronie organizował na cały świat katolicki trybunały Inkwizycji—plama niezmyta kościoła. Miejmy nadzieję, że zarządzenia Piusa X — przymus gwałtowny, nie będą równie zgubne dla Kościoła" (Marj. № 41 str. 322).

Atoli „Marjawita" nie podziela i tego optymizmu, gdyż pisze: „Jeszcze jeden taki dokument, a świat się przekona, że szczęście i przyszłość jego spoczywa nie w murach Watykanu" (№ 43, 339).

Były jezuita, uczony teolog, ks. Tyrrel, poddaje encyklikę ostrej analizie. Twierdzi on, że jako oparta nie na prawdzie, nie na miłości, może podzielić świat katolicki na obozy, powaśnić ludzi, żyjących w zgodzie. Papież nie przypuszcza u modernistów dobrej woli, nie unika tonu pogardy ku nauce. Ucieka się do kar, indeksu, szpiegostwa, prześladowania i innych nędznych środków, dowodzących, że ani on, ani jego doradcy nie mają wiary w moc i żywotność tego, co uważają za prawdę. „Przypuszczać jednak należy — pisze „Marjawita"—że ostatnia encyklika Piusa X, z wyjątkiem walki z marjawitami, przejdzie bez śladu".

„Już dawno bowiem znikł w klerze katolickim duch posłuszeństwa dla biskupów i Papieża, a zapanowała *obłuda i pozory gorliwości*. Wprawdzie Pius X w djecezji rzymskiej przeprowadza już zarządzenia encykliki, usuwając z uniwersytetów profesorów podejrzanych o modernizm i zaprowadzając kolegjum cenzorów dla pism perjodycznych; — lecz co do reszty świata katolickiego, to zaledwie w kilku djecezjach, i to przeważnie tam, gdzie biskupami są kardynałowie, ujawniło się pewne zainteresowanie encykliką; w innych — jak dotąd — panuje grobowe milczenie.

„U nas w Polsce opieszałość biskupów jest zadziwiająca. Żaden z nich nie objawił jeszcze swojego zdania co do encykliki o modernistach, żaden nie kazał jej ostentacyjnie *na purpurowej poduszce nieść na ambonę i czytać ludowi; jak to było z encykliką przeciwko marjawitom*, żaden nie zabrał się do wykonania poleceń w niej zawartych. Czyżby zabrakło im odwagi ogłosić i wykonać to, co Papież miał odwagę napisać i polecić?...

„Podobnie milczy i prasa zachowawcza. Z wyjątkiem „Przeglądu Katolickiego", pisma nasze katolickie poprzestały na krótkich i suchych wzmiankach o encyklice, żadne zaś nie wydrukowało jej w całości, nie dało choćby obszerniejszego o niej sprawozdania, aż ich w tem musiała wyręczyć „Myśl Niepodległa".

„Znak to oczywisty, że encyklika zawiera takie rzeczy, o których społeczeństwu nie można mówić, bo bez oburzenia słuchaćby nie mogło".

Organizacja marjawitów jest już zakończona. Okazuje się, że pod względem dogmatycznym *absolutnie* niczem się nie różnią od katolicyzmu. Zmieniła się tylko skutkiem zerwania z biskupami—zewnętrzna hierarchiczna organizacja.

Najgłówniejszą jednak i wielce doniosłą, zgubną dla myślących prawowiernych, inowacją —jest wprowadzenie języka *narodowego* do liturgji i nabożeństw: polskiego, litewskiego i czeskiego. Rozwiązaną zatem została myśl zasadnicza Hussa, Żyżki, Hieronima praskiego, w tym rzekomo zacofanym marjawityzmie. Przypominam przy okazji, że myśl ta jest bardzo starą w historji Polski. W narodzie stale tkwi przekonanie, że lepiej się chłop modli, gdy rozumie słowa liturgji.

Co do rozwodów—marjawici uznają śluby Kościoła Katolickiego. Ale przeszkody, unieważniające związek małżeński, uznają te tylko, od których Kościół Katolicki nie daje dyspensy. Te zaś impedimenta, od których Rzym udziela dyspensy—marjawici uznają za przeszkody wzbraniające. Procedurę rozwodową przeprowadzają trzej księża marjawici z ramienia Ministra Generalnego. *A. M.*

W ROLI OBROŃCÓW LUDU.

Jak zdobywa enedcja „pozycję moralną" w kraju — świadczą wymownie wybory w m. Wilnie, jeżeli bowiem u nas endecja pozbawiona przeciwników na wyborach zawiesiła chwilowo na kołku swój aparat wyborczy, to za to w Wilnie, gdzie jej klerykalno-wstecznemu kandydatowi ks. Maciejewiczowi przeciwstawiono demokratyczną kandydaturę Tadeusza Wróblewskiego wystąpiła ona w pełnem uzbrojeniu. Oto co pisze o jej działalności wyborczej w „Wolnej Trybunie" „Kurjera Litewskiego" dr. Tadeusz Dembowski:

„Nie można sobie wyobrazić, co opowiadano na ulicy wśród tłumu wyborców o Wróblewskim. Występowały tam i dziesięć tysięcy rubli, danych przez niego na swoje wybory i opowieść o wódce i piwie, którymi rzekomo pojono wyborców jego w komitecie i o 40 tysiącach rubli, wziętych od żydów za sprawę Blondesa i niby szczere a dobrowolne przyznawanie

się pojedyńczych wyborców że dostali od Wróblewskiego po kilka rubli, żeby za nim głosować ' cały szereg uwag ogólnych o ohydzie adwokackiej profesji i t. d. Powiedzcie, panowie narodowi demokraci, czy nie rosły wam serca, wobec tych wszystkich brudów, fałszów i kłamstwa, w umysłach ludu posianych. Czy wolno dla przeprowadzenia *„ludowego“* kandydata *lud* znieprawiać? A przecież nie zaprzeczycie, że to wasz siew poniekąd. Jeżeli ktoś, w Wilnie podczas hecy agitacyjnej nieobecny chciałby o tem wątpić, niech wasz szanowny organ za ostatni tydzień weźmie do ręki. To mogę w moim i wszystkich stronników Wróblewskiego oświadczyć imieniu, że żadna walka i zacietrzewienie nie byłoby w stanie popchnąć do używania takich środków agitacyjnych. Jesteśmy szczęśliwi, że wychodzimy na wyborach pobici, ale nie *wyborami skalani*.“

Zaiste «moralna pozycja».

POMYSŁOWOŚĆ REŻYSERSKA.

Nowym reżyserem naszego dramatu jest komedjopisarz polski p. K. Zalewski, miarę zaś swoich upodobań dostarczył on nam, wystawiając na pierwszy ogień, bo na inauguracji teatru Rozmaitości, komedje Shaw'a:— „Nie można przewidzieć“ Shaw należy do tych artystycznych organizacji, które nie zawsze mogą być odpowiedzialni za swoje czyny, dowiódł on to nieraz swoją działalnością publicystyczną. Owóż w chwili prawdopodobnie, minorowego humoru zachciało mu się ośmieszyć to wszystko, czemu hołduje i napisał powyższą komedyjkę, rzecz, pozbawioną wszelkiej wartości, zarówno literackiej jak ideowej, ale zato drwiącej wesoło, choć płasko, z postępowych matek i nowatorek wychowania. Co jednak skłoniło p. Zalewskiego z pośrod tych utworów utalentowanego Shaw'a, posiadających pierwszorzędną wartość artystyczną, wystawić tę bezwartościową fraszkę? Oczywiście, rozumowanie nader logiczne: Shaw we wszystkich swoich utworach ośmiesza, smaga i biczuje kłamstwo, obłudę, kołtuństwo i wszelakie wstecznictwo — to może zadowolnić tylko część i to małą, naszej szanownej publiki, większość zaś może się poczuć obrażoną w swej godności. Tej oto kołtuńsko-bigoteryjnej publiczności niepodobna nie dać Shaw'a, bo Shaw jest modny, ale i niepodobna obrażać jej najgłębszych uczuć, więc niech idzie *Shaw contra Shaw* — i wilk syty i owca cała: i modzie i kołtunerji staje się zadość. Winszujemy panu Kazimierzowi Zalewskiemu pomysłowości.

Spartak.

Z ŻYCIA — O ŻYCIU.

W celu rozszerzenia podstawy, na której opierają się nasze sądy o sprawach wychowania i oświaty, zwróciliśmy się do pewnej liczby osób z prośbą o zakomunikowanie nam swych osobistych doświadczeń i poglądów. Są to głosy z życia — o życiu — na doświadczeniu życia oparte.

Materjały, jakie ankieta nasza przyniosła, posłużą nam z czasem do pewnych uogólnień; tym czasem zamieścimy niektóre odpowiedzi *in extenso*, z innych obszerniejsze — wyciągi. Zaznaczyć musimy, że niektórych bardzo interesujących odpowiedzi nie możemy zamieścić już to ze względu na dyskrecję, przez autorów zastrzeżoną, już to z przyczyn od Redakcji niezależnych.

I.

Witając z żywą radością wszelkie usiłowania sprowadzenia nauki na teren życiowy z tych manowców scholastyczności, doktrynerstwa, abstrakcji i kaznodziejstwa, po których nauka dotąd jeszcze błąkać się lubi, przesyłam chętnie żądaną odpowiedź z zastrzeżeniem 1-o ogólnikowości i niedokładności z uwagi na brak czasu, zajęciem zarobkowem całkowicie, bo bez określonych godzin, wypełnionego, 2-o pewnej charakterystycznej dla tego rodzaju odpowiedzi nieszczerości na korzyść własną i pewnego koniecznego wpływu myśli zgóry powziętych na prawdziwość danych, czego, przy najlepszych nawet chęciach, w danym wypadku, ustrzec się niepodobna. Odpowiedzi takie mogą stanowić prawdziwy dokument dopiero po poczynieniu w nich koniecznych poprawek normalnej chełpliwości ludzi dzisiejszych i normalnej podmiotowości ideowej, to znaczy, apriorystycznej tendencyjności, zależnej od indywidualnego światopoglądu.

Mam lat 33. Urodziłem się i spędziłem pierwsze lata na wsi Polesia Wołyńskiego, należącej do rodziców, pochodzących ze sfery zamożniejszego ziemiaństwa szlacheckiego, osiadłego od kilku pokoleń na Wołyniu.

Uczyłem się do lat 13-u w domu, pod kierunkiem rodziców, (ojciec wychowaniec uniwersytetu kijowskiego, matka ze starannem wykształceniem domowem) bon, niemek i francuzek i paru nauczycieli domowych wytrawnych, do r. 19-go w Warszawskiem gimnazjum filologicznem, do r. 25-go przez bardzo dorywcze, dla braku czasu i środków, samouctwo. Kilka miesięcy na kursach specjalnych w instytucie fermentacyjnym przy uniwersytecie „nowym“ w Brukselli. Zajmuję się pracą zarobkową na posadzie administratora i technika gorzelnianego.

Na wyliczanie i wyczerpujące sprawozdanie z pobudek, które mnie skłoniły do obrania tego zawodu w tej chwili nie mam czasu, zaznaczę tylko, że wybór postanowiłem około 20-go roku życia z całą świadomością, rozumiejąc, co uzyskam wzamian za to, czego decydowałem się wyrzec. Zawodu w ciągu życia nie zmieniałem, postanowienia nie żałowałem nigdy i dziś nie chciałbym go zmienić o tyle, że zdaję sobie równie dobrze, jak i wówczas, sprawę z tego, że dla mnie lepiej było, a tem więcej jest — skwitować z marzeń o pracy naukowej i za tą cenę kupić wszystko to, co bliższe i konieczeiejsze jest dla życia.

Z nauki szkolnej, prócz znakomitego wyrobienia stylu i ortografji w języku rosyjskim, nie zatrzymałem, zdaje mi się, nic a nic. Być może dlatego, że, mając do klasy 3-ej calutkie poobiedzie zajęte nieraz do godz. 11-ej w nocy korepetycjami, tłomaczeniem i przepisywaniem zarobkowem, nabrałem szalonej wprawy w uczenie się na dystans, np. paru stronic greckich wierszy przez parę lekcyj, na 3-ią, lub przez 5 minut pauzy na daną godzinę, lub całej historji w datach przez 3 dni na egzamin, poczem z chwilą kiedy mi to już nie było potrzebne, zapominałem, wślad za lekcją, czy za egzaminem na amen; po upływie kilku dni już, w razie potrzeby powtórzenia np. tego, co na daną chwilę umiałem wybornie, musiałem się uczyć zupełnie, jak na nowo, również tylko na dany termin, poczem zaraz wszystko z głowy ulatywało. Przez okres gimnazjalny zapomniałem zupełnie języków nowożytnych, które znałem nieźle wstępując do gimnazjum. Douczałem się ich później przez czytanie masy książek w danym języku.

W gimnazjum najlepiej lubiłem ćwiczenia rosyjskie na tematy ogólne. W ciągu samouctwa, początkowo, około r. 16 do 19-do pociągały mnie nauki społeczne, pedagogja, myślałem o profesorstwie, pragnąc zużytkować dar uczenia, jaki zdawało mi się, że posiadam, umiejętność ujęcia i wytłomaczenia przystępnego rzeczy pozornie zawiłych, później od r. 20-go marzę o nauce chemji. Trudno zresztą cośkolwiek w tym kierunku stanowczego orzec, w każdej bowiem gałęzi nauk odczuwam liczne braki, które w jednej

chwili pragnąłbym wypełnić. Gdybym mógł jednak się uczyć, t. j. gdybym miał na to, to po dopełnieniu odczuwanych braków w kierunku ogólnym, poświęciłbym się chemji.

Najwięcej nauczyłem się w wieku dojrzałym, jeżeli brać wyraz „nauczył się“, jako przyswoił sobie gruntownie, przetrawił, przeżył, zrozumiał treść istotną. W gimnazjum nie rozumiałem zupełnie ani algiebry, ani gieometrji, ani historji, ani żadnej rzeczy, która Jego jest. Dziś, po samodzielnem przemyśleniu i logicznem powiązaniu treści i celu nauk poszczególnych, uczyłbym się łatwo i chętnie wszystkiego od początku. Zdaje mi się, że największą przeszkodą i największem udręczeniem w okresie szkolnym był chaos w głowie, brak uogólnienia i ładu w pojęciach o danej nauce. Moim zdaniem, pierwszą nauką po czytaniu powinny być dzieje (możliwie najprzystępniejsze) całej ludzkości i przystępowanie do poszczególnych nauk po zrozumieniu i uświadomieniu sobie dziejów danej nauki.

Co najwięcej na mnie wpłynęło? Zdaje mi się, że śmierć Ojca i idąca wślad za nią ruina majątkowa, a tem samem zmiana nagła położenia materjalnego i stosunku krewnych i znajomych względem mnie i mojej rodziny. Wychowany w złudzaniach idealnych co do wzajemnych stosunków ludzkich i współżycia, w ciasnej atmosferze rodzinnej, pełnej szczerego przywiązania i zbytniej uczuciowości i miękkości, przebolałem każdą zmianę frontu dawnych krewnych i znajomych, jako zawód na całej ludzkości, którą w innych, szlachetniejszych barwach sobie rysowałem. Miałem lat 14, kiedy każde świeże spotkanie. w innych już warunkach, dawnych znajomych dobrych, przyjaciół, czułych i serdecznych dawniej, a naraz obojętnych i unikających, otwierało mi oczy na życie i ludzi i czyniło smutnym i przygnębionym mężem ufne i wesołe dziecko. Prawdopodobnie wówczas zrodziła się tu ambitna samodzielność, która kazała mi odrzucić wszelką pomoc w formie pożyczek na dalsze kształcenie się, protekcję, rady i iść o własnych siłach i własnej tylko pracy i zasłudze wszystko w życiu móc zawdzięczyć. Wogóle nie szkoła i nie słowo, lecz życie uczy. Wówczas pewnie zagnieździł się w duszy ten melancholijny pessymizm i ten lęk przed życiem i ludźmi, który długie lata wyjaławiał czynniejsze akty woli i kto wie, czy w tem różniczkowaniu się warstw ziemiaństwa, które jest zjawiskiem ekonomicznem, w krajach o tym wyglądzie ekonomicznym, dość powszechnem, nie leży czasem źródło znanego kierunku płaczliwo-pessymistycznego w europejskiej literaturze. Wtedy wreszcie być może zrodził się kult dla charakterów ludzkich o pewnej sumie właściwości, które zwałem „dobrocią serca“, który zaważył na szali tak przy wszelkich stosunkach z ludźmi, jak i przy wyborze dobrej, prawej i szlachetnej towarzyszki życia. Co do właściwości charakteru, to te zdają mi się być najbardziej wybitnemi i wyraźnemi, które zawdzięczam najbliższemu otoczeniu w dzieciństwie, np. prawośc, jakiś, jakoby urodzony, na pokładzie pewnej dumy, czy ambicji, wstręt do wszelkiej podłości, lub podstępu, dążenie do sprawiedliwości w postępowaniu z ludźmi, wogóle całokształt credo etycznego. Wpływy nauczycieli, kolegów gimnazjalnych, przyjaciół, kobiet były może liczne, bo, o ile pamiętam, byłem wpływowy, ale w każdym razie przemijające. Znaczny wpływ przypisuję również drukowanemu słowu. Pamiętam w dzieciństwie około roku 10-go ogromne wrażenie wywarł na mnie życiorys Kazimierza Brodzińskiego. Unosiła mnie wszelka bohaterskość, która wiała z owoczesnych „Przyjaciela dzieci“ „Wieczorów rodzinnych“ „Ogniem i mieczem“ i t. d. W wieku szkolnym poezje Konopnickiej i kto wie, czy nie pod ich wpływem zacząłem szukać sposobności zaznajomienia się z zasadami nauki Marksa, ale dokładnie tego nie pamiętam i za to ręczyć nie mogę. Bardzo wiele pobudek do gruntownego badania i zastosowania się nad przeróżnemi kwestjami zawdzięczam prasie poważniejszej, a szczególiniej „Głosowi“, który prenumerowałem ab ovo. Co do braków charakteru, to te mają źródło w wychowaniu domowem, jako to zbytnia uczuciowość, zbytni idealizm, powodujący niepotrzebne rozczarowania i zawody, zbytnia cześć i szacunek dla osób starszych, który wiedzie do braku samodzielności myślowej i mimowolnemu nieraz, wbrew staraniom i czuwaniu nad tem, uznawaniu autorytetów, pomimo wyrobionego już później, a pod wpływem, zdaje się drukowanego słowa i korepetytora o wybitnej umysłowości, krytycyzmu, który przychodzi później przy pamięci i pracy nad tem, ale narazie zawsze zawodzi. Wogóle za najtrwalsze i najwybitniejsze uważam wpływy wychowania domowego i najbliższego otoczenia w dzieciństwie.

Zerwałem z tradycyjnemi pojęciami religijnemi pod wpływem drwin kolegów i Drapera, studjowanego w kółkach gimnazjalnych, ale około r. 26 wiara w Opatrzność Boską, odczuwana zupełnie indywidualnie, powróciła i tkwi tak głęboko, iż mnie nie opuści tem więcej, iż o to zupełnie się nie staram, ponieważ niczem mi nie przeczy, a jest mi w życiu podporą. Przyszła sama, bez jakiejś wyraźniejszej pobudki zewnętrznej, lub wpływu pobocznego.

Co myślę o wychowaniu współczesnem? Pytania, jako nader ogólnikowego, skutkiem braku czasu, nie poruszę, tem więcej, że wzmiankowałem już cośkolwiek o tem w punktach poprzednich. Dodam, zresztą że wykształcenie gimnazjalne uważam za absolutnie szkodliwe. Źródła do samouctwa, jako to, prasa poważniejsza, wydawnictwo naukowe postępowego obozu i t. d., z których zaczerpnąłem to, co umiem w ówczesnych warunkach politycznych i składzie, czy poziomie umysłowym naszego społeczeństwa, uważam za pomnikowy czyn tego odłamu społeczeństwa, za coś wielkiego i wspaniałego. Te niespożyte zasługi dla ludzkości, a szczęśliwej dla naszego społeczeństwa, oceni kiedyś w przysłości sumienny historyk ostatniego 30-lecia wieku ubiegłego, Co zaś do wychowania domowego w rodzinach ze sfery średniej szlacheckiej ziemiańskiej, to sądząc, zdaje się, bezstronnie, liczne, ale niezbyt ciężkie usterki, wypływające więcej z szybszego tempa rozwoju umysłowości ludzkiej w dobie współczesnej, okupują sie znacznie pewnemi tradycyjnemi właściwościami, nader dodatniemi z punktu widzenia przyszłej doli ludzkości.

K. Z.

II.

Mam lat 38; do lat 25 stale przebywałem w Kielcach; ojciec mój był urzędnikiem i straciłem go mając lat 11.

Elementarne początki nauki odebrałem w szkole prywatnej dalej kształciłem się w gimnazjum; wystąpiwszy z gimnazjum uczyłem się sam.

Jestem urzędnikiem z musu dla kawałka chleba, zamiłowanie miałem i mam do zajęć technicznych i mechanicznych.

W wyborze zajęcia, dla braku fachowego wykształcenia i środków utrzymania, powodowałem się chęcią otrzymania posady lepiej płatnej; obowiązki

wypełniam tylko z musu, a usiłowania moje są skierowane do przerzucenia się na drogę techniczną.

Z nauki szkolnej pozostały mi w pamięci: matematyka i trochę wiadomości z geografji; języków starożytnych zapomniałem zupełnie; dat i nazwisk z historji zatrzymałem w pamięci niewiele.

W dzieciństwie nie nauczyłem się niczego, w młodości matematyki, geografji, trochę literatury i historji, w wieku już dojrzałym robót technicznych i zapoznałem się z budownictwem.

Najwięcej urobiły mój charakter niepowodzenia materjalne i zawody życiowe, w 17 roku życia wskutek niepowodzeń materjalnych mej rodziny znalazłem się w położeniu bez wyjścia, bo wychowany w dostatkach—psuty przez otoczenie, oddzielony od wszystkiego tego, co mogło mi wskazać istotny cel życia człowieka, nieprzygotowany byłem do pracy, a w otrzymaniu odpowiedniego moim zdolnościom zajęcia przeszkadzał brak fachowego wykształcenia; wytworzył się w mym umyśle chaos, poczułem potrzebę nauki, a nie wiedziałem jak pogodzić to z koniecznością zarabiania na swe i matki utrzymanie: byłem dumnym, więc nie chciałem nikogo o nic prosić; pracowałem to u adwokatów, to u budowniczych, ucząc się dorywkowo; w 19 roku życia zakochałem się w panience biednej i postanowiłem zdobyć takie utrzymanie aby módz się ożenić; obdarzony od natury zdolnościami, wiarą w ludzi, w sprawiedliwość, święcie wierzyłem, że zdobędę odpowiednie stanowisko; doznawszy rozlicznych zawodów, zgnębiony niepowodzeniami w 25 roku życia przyjąłem wbrew dobrym radom zwierzchników posadę pisarza gminnego i ożeniłem się nareszcie po 5 latach starania się o rękę dzisiejszej mej żony.

Odziedziczywszy po matce nadmierną czułość i wrażliwość, po ojcu szczerość, a po obojgu nerwowość, oddałem się z zapałem nowemu zajęciu, idealizując me otoczenie; po dwóch latach jeden z okolicznych obywateli zapisał mi 6 morgów i wybrano mię na wójta, którą to godność do dziś dnia piastuję; tu niepowodzenia materjalne wynagradzało mi zaufanie ludu, lecz im ono stawało się większym, tem więcej zyskiwałem sobie nieprzyjaciół wśród miejscowej i okolicznej inteligencji, a z miejscowego proboszcza zrobiłem sobie zaciętego wroga.

Ostatnie wstrząśnienia polityczne wywarły wpływ na kierunek mych myśli i życia; nienawidząc hypokryzji i fałszu z jakiemi dziedzice i księża zabierali się do pracy społecznej, zacząłem o tym głośno mówić, a na poparcie mych słów rozdawać do czytania „Zycie gromadzkie“, później „Zagon“, dziś „Siewbę“, czyli wypowiedziałem jawną wojnę pseudo N.-D.; teraz konsenkwencja taka—ogłosili mię za człowieka w nic niewierzącego, wrogo usposobionego dla Polski (bo ich Polskę stanowią tylko obszarnicy, księża i tresowani chłopi), a ksiądz proboszcz nawet posuwał się do najpodlejszych intryg, aby podkopać zaufanie do mnie (pole dość obszerne: ambona i konfesjonał); znowu zawody i rozliczne przykrości... Już w osiemnastym roku mego życia, zetknąwszy się z ludźmi różnych sfer społecznych, zacząłem spostrzegać braki moralne i kulturalne naszej szlachty, w kółkach której spędzałem dzieciństwo; przestawałem wierzyć w zaszczepiane mi w dzieciństwie pojęcia o wyższości stanu szlacheckiego od innych; i z biegiem życia wierzenie to tylko się utrwala.

Wychowanie moje było marne, bo nienauczyło mię szanować człowieka do człowieka, a dla pochodzenia jego, majątku lub stanowiska, nie wpojono we mnie pojęcia o konieczności nauki i pracy (jakby szlachectwo i pieniądze wszystko już dawało i wystarczało do zapełniania życia); wykłady prowadzone w języku obcym sucho i urzędowo zrażały tylko do nauki, a absolutne i bezwzględne rozporządzenia zmuszały do ukrywania się z myślami i czynami i uczyły kłamstwa; władze szkolne powinny być przyjacielem ucznia — powinny się starać o zaufanie jego,—surowe obchodzenie się z uczniem wywiera zły wpływ—należy je zastąpić wyrozumiałością i łagodnem obejściem, połączonemi ze stanowczością.

Podług mnie języki starożytne z niższych klas należało by wyrugować, a wprowadzić nauki przyrodzone, trochę fizyki, chemji i kreślenia — w klasach wyższych zmniejszyć liczbę godzin tychże języków, a wprowadzić nauki społeczne; rozumie się wykłady powinny być prowadzone w języku ojczystym ucznia.

Dotkliwie daje się uczuwać u nas (na prowincji) brak wieczorowych wykładów popularnych z dziedziny nauk społecznych, przyrodzonych, historji, matematyki dla tych, którzy do szkół uczęszczać nie mogą, a chcieliby uczyć się.

Należało by także przy średnich zakładach naukowych, a nawet i początkowych, zaprowadzić dział rzemiosł, choćby ogólne pojęcie o takowych w życiu każdego człowieka jest niezbędnem. *J. P.*

Na ankietę naszą nadesłali odpowiedzi między innemi:
Kazimiera Ostachiewiczowa.
Prenumerator i przyjaciel idei — Erem.
A. Brewiński, kowal.
J. Parysiak, nauczyciel.
X, chemik.
Adam Huszcza, lekarz.
H Leszczyński, rolnik.
X., student.
B. Bereżecki, aptekarz.
W. J., student.
A. Basiański, urzędnik banku.
Marja Ostachiewiczowa, nauczycielka.
Michał Römer, literat.

HORYZONT POLITYCZNY.

Ostatnie stadjum wyborów do Dumy nadeszło i nic nowego, co nie byłoby przewidzianem natychmiast po ogłoszeniu aktu z dnia 16 czerwca, oczywiście przynieść nam nie mogło. Nie mniej jednak zasługuje na uwagę objaw, wprawdzie przygotowany i, rzec można, przygotowany przez rozwój dziejowy, ale szeroko komentowany w chwili obecnej na szpaltach pism wszelkich odcieni, poczynając od urzędowej „Rossji“ a kończąc na świstkach czarnosecinnych. Mamy na myśli sojusz kadetów z październikowcami, który wprawdzie nie jest jeszcze faktem dokonanym, niemniej jednak wydaje się w chwili obecnej nieuniknionym. I znamiennem jest to, że pierwsi wyciągnęli rękę do zgody nie październikowcy, lecz kadeci. Ewolucja liberalizmu rosyjskiego dobiega swego logicznego końca, jako partja konstytucyjna par excellence, kadeci muszą łączyć się z temi czynnikami społecznymi, które mogą lub muszą stanąć na gruncie konstytucyjnym. Demokratyzm nie stanowił nigdy cechy istotnej liberalizmu rosyjskiego, zwracał się on do mas demokracji tylko wówczas, kiedy mógł się spodziewać od tych ostatnich poparcia jego usiłowań, zdążających do wprowadzenia normalnych warunków konstytucyjnych w kraju. Był to dawno zapomniany okres po rozwiązaniu pierwszej Dumy, kiedy to kadeci „nie

mogli mieć wrogów po lewej stronie". Przekonawszy się, że nadzieje pokładane na demokracji były płonne, kadeci rozpoczęli cofanie się wstecz, przesuwając się coraz bardziej na prawo. Żadna z trzech sił, wchodzących obecnie w grę wypadków politycznych, nie może samodzielnie przeprowadzić swoich zadań, zapewnić państwu mniej więcej stałą równowagę i ochronić je przed grożącym rozkładem: ani stronnictwo władzy przy pomocy starych systemów zarządu państwem, ani znużona, pragnąca spokoju i nie mająca za sobą szerokich mas ludowych burżuazja, ani, wreszcie, demokracja nierozwinięta i niezorganizowana. To też liberalizm rosyjski, idąc po linji najmniejszego oporu, zwraca się do tego stronnictwa, które bez szczególnego wysiłku pozwoli mu przeprowadzić swój program konstytucyjny. Oczywiście, że demokratyzm swój partja konstytucyjno-demokratyczna musi zarzucić, gdyż demokratyczną jest tylko taka polityka, która w pierwszym rzędzie skierowaną jest do usamodzielnienia szerokich mas demokracji i od świadomości i siły tej ostatniej czyni zależnym rozwój życia politycznego; natomiast partja uzależniająca organizację życia społeczno-politycznego od mniej lub więcej udatnych kombinacji politycznych osób stojących u steru jej rządów, może przeprowadzić reformy w myśl zasad demokratyzmu, ale nie stanie się nigdy partją demokratyczną, gdyż demokratyzm jej nie ma żadnej podstawy i może w każdej chwili być zawieszonym na kołku. Kadeci zaś czynią wszystko w ostatnim czasie, aby się resztek demokratyzmu pozbyć: odrzucili oni swój znakomity „fundusz rolny", a obecnie przyznali się nareszcie do posiadania „wrogów po lewej stronie" — to znaczy przeprowadzili pas graniczny pomiędzy sobą a demokracją. Stwierdzając jednak to odstępstwo kadetów od ich pierwotnego programu i taktyki, nie myślimy ich piętnować mianem zdrajców, owszem przyznajemy, że sojusz opozycji liberalnej ze stronnictwem, stojącym u władzy, jest wskazanym przez rozwój dziejowy, jest niejako koniecznością dziejową, jako najbliższy etap w rozwoju wypadków dziejowych. Kadeci potrafią wpłynąć na władzę i wycisnąć na niej piętno swego szczerego konstytucjonalizmu, natomiast przeprowadziwszy linję demarkacyjną pomiędzy sobą a demokracją prawdziwą, przyczynią się do wyklarowania ustosunkowań społecznych i wzajemnego porozumienia się czynników szczerze demokratycznych. Ostatnie wynurzenia urzędowego organu „Rossija" zdają się zawierać sporą dozę pojednawczości.

Pobyt ministra spraw zagranicznych w Paryżu, mający, zdaniem pism paryskich, na celu emisję pożyczki we Francji, rewizję francusko-rosyjskiej konwencji wojennej i ogłoszenie części dyplomatycznej umowy francusko-rosyjskiej w stosunku do pożyczki i Dumy, jeszcze bardziej utwierdza nas co do słuszności powyższego wniosku, jakkolwiek nie mamy pewności, czy te doniesienia pism francuskich są zupełnie zgodne z prawdą. We Francji odbywa się obecnie gruntowna rewizja wszystkich aktów, dokonanych w ciągu trzydziestopięcioletnich rządów republikańskich. Rzecz prosta, że na porządku dziennym stoi i kwestja przymierza z Rosją. Z drugiej strony stosunki Francji z Niemcami zatracają swój charakter wzajemnej niechęci, idea Revanche'u została już pogrzebaną, natomiast mowa jest o wypuszczeniu we Francji pożyczki niemieckiej, a przynajmniej o dopuszczeniu walorów niemieckich na giełdę paryską. Niemcy potrzebują pieniędzy, a otwarcie rynku niemieckiego dla kapitałów francuskich odciągnęłoby niewątpliwie takowe od rynku rosyjskiego, co nie leży bynajmniej w interesie państwa rosyjskiego i sfery rządzące muszą się z tem liczyć. A zatem komentarze pism francuskich do pobytu ministra we Fracji nabierają wybitnych cech prawdopodobieństwa. Francja gotowa jest dostarczyć Rosji pieniędzy, a Rosja gotowa jest dostarczyć Francji gwarancji konstytucyjnych. Sojusz konstytucyjnej partji ze stronnictwem konstytucyjnego rządu staje się również zrozumiałym.

Dwa ostatnie procesy sądowe w Niemczech — jeden wybitnie polityczny, drugi, aczkolwiek o charakterze prywatnym, niemniej jednak posiadający pierwszorzędne znaczenie polityczne, odkryły przed światem cywilizowanym obrzydliwą zgniliznę moralną, panującą w państwie „Bojaźni Bożej i dobrych obyczajów", a którą przesiąknięte są do szpiku kości sfery rządzące w Niemczech. Zboczenia patologiczne, ohydna rozpusta płciowa, wyzucie nietylko ze czci i honoru, ale i z wszelkiego wstydu, niepohamowana żądza władzy i paniczna bojaźń przed słowem, skierowanem przeciwko jedynej ich sile moralnej — bagnetowi, oto najbardziej pobłażliwa charakterystyka dzierżącego ster rządów w Niemczech junkierstwa. Pierwszy proces — to proces antymilitarystyczny Liebknechta. Liebknecht syn znakomitego ojca, sam znany adwokat, publicysta i działacz społeczny, napisał broszurę, skierowaną przeciw militaryzmowi niemieckiemu. Broszura, jak wiele innych, omawiała stanowisko klasy robotniczej wobec militaryzmu. Prokuratorji podobało się jednak, zgodnie z natchnieniem „z góry", upatrzeć w dziełku Liebknechta dwa przestępstwa: popierwsze—zachęcanie do dezercji, powtóre — wezwanie do wyzyskania mogącego nastąpić zatargu francusko-niemieckiego, aby z bronią w ręku wystąpić przeciwko istniejącemu ustrojowi społecznemu. Ani jednego, ani drugiego Liebknecht nie wypowiedział, ale rząd niemiecki, przestraszony snać mowami Hervégo na kongresie stutgarckim, widzi teraz „herveizm" w każdej socjalistycznej enuncjacji i bez wahania imputuje Liebknechtowi wnioski, których ten nie miał na myśli. W rezultacie proces o zdradę stanu (Hochverrat), a nadprokurator Olshausen żąda dla Liebknechta 2 lat ciężkich robót i 5 lat pozbawienia czci obywatelskiej. Gdy Liebknecht, zachowujący się podczas całego procesu z godnością i spokojem, oburzony tą czelnością, zwraca uwagę, że sam pan nadprokurator Olshausen (nb. znakomity kryminalista) w swojem studjum przeprowadza myśl, że przestępstwo polityczne nie może być uważane za czyn niehonorowy i nie może pociągać za sobą utraty praw obywatelskich, nadprokurator bez żenady odpowiada: „zmieniłem swój pogląd na tę sprawę!!!" Pogląd pana Olshausena się zmienił, gdyż zależy on całkowicie od rozkazów idących z góry. Ostatecznie Liebknecht został skazany tylko na 1 rok i 6 mies. twierdzy, jeżeli jednak chodzi o skutek, to jest on wręcz przeciwny temu, jakiego się spodziewano od tego procesu „u góry". Wyrok otrzymał wprawdzie Liebknecht, ale wydany on został jego sędziom, a nadto osiągnęli sędziowie jeszcze i to, że o ile przedtem broszura Liebknechta znana była tylko garści czytelników, to teraz, dzięki procesowi, roz-

brzmiała jej treść po wszystkich zakątkach kraju. Powiedział wszak Lassale w swoim czasie: oni są najlepszemi propagatorami.

Rozkazy idą z góry od „rycerzy okrągłego stołu“. Istotę tych ostatnich odsłonił drugi proces — proces Maksymiljana Hadena o oszczerstwo, wytoczony mu przez b. adjutanta cesarza, hr. Moltkego. Harden, redaktor czasopisma „Zukunft“, były ajent prasowy Bismarka, posiada rozległe stosunki u dworu, w sferach, usuniętej wraz z Bismarkiem od władzy, kamaryli. Ta ostatnia posługuje się nim dla dyskredytowania otaczającego obecnie cesarza grona rycerzy. Wartości moralnej strony dyskredytującej łatwo się domyśleć, patrząc na aparat, wprowadzony przez nią w ruch, dla popięcia swego celu, niemniej jednak oddała ona przysługę społeczeństwu niemieckiemu, pokazując mu w całej ohydzie „ojców narodu“. Hr. Moltke, książe Eulenburg, hr. Lynar — to „poszkodowani“ w tym procesie, a obok nich widzimy ze strony oskarżonego cały szereg figur, przewijających się, niby w kinematografie, a opowiadających tajemnice dworu, otwierających obraz stosunków, wstrząsających swoją ohydą, stosunków, o których mówiono wiele, ale którym dotyczas nikt wiary nie dawał. Harden może być skazany (został uniewinniony—*P. R.*) — to jednak sprawy nie zmieni: społeczeństwo niemieckie widziało i przekonało się. Rycerze okrągłego stołu — to obrzydliwa, nurzająca się w rozpuście zgraja degeneratów — prawo może jest dla nich zbyt surowe, grożąc im ciężkiem więzieniem, zamiast ich powierzyć lekarzowi, ale co ma powiedzieć społeczeństwo, którym rządzą obłąkani rozpustnicy?! Otoczyli oni żelaznem kołem cesarza, kierując każdym jego krokiem, odgradzając go przed wszelkim wpływem zzewnątrz. I ci ludzie sądzą, że mogą Liebknechta pozbawić honoru!...

S t r a j k k o l e j o w y w A n g l j i staje się nieuniknionym. Walka toczy się pomiędzy największym związkiem kolejowym, „Amalgamated society of Railway servants“ a towarzystwem kolejowem o żądania natury ekonomicznej: 8-o godzinny dzień, podniesienie płacy o 2 szylingi tygodniowo, ale co najważniejsza, o uznanie związku za przedstawiciela pracowników kolejowych. Co do pierwszych żądań ugoda nastąpiła natychmiast, natomiast nie chcą przdsiębiorcy w żaden sposób uznać związku, gdyż przez to samo uznaliby umowę zbiorową, do której rzecz prosta, czują przedsiębiorcy wstręt. Związek, którego głównym sekretarzem jest członek izby gmin Bell, wyznaczył dzień 28-go października za ostateczny termin, grożąc, w razie odpowiedzi ujemnej, strajkiem. Tymczasem przeprowadzono plebiscyt celem zbadania nastroju zorganizowanych. W rezultacie 142 sekcje reprezentujące 23.645 zorganizowanych wypowiedziały się jednogłośnie za strajkiem, 64 sekcji liczące ogółem 9394 członków wypowiedziały się za strajkiem ogromną większością głosów. 37 sekcji, mających 4502 zorganizowanych postanowiły bez względu poddać się uchwale centralnego komitetu wykonawczego, wreszcie tylko 6 sekcji, reprezentujących 601 zorganizowanych, wypowiedziały się przeciwko strajkowi. Związek rozporządza kapitałem do 4 miljonów rubli i kredytem, sięgającym do takiejże wysokości, a więc strajk może potrwać długo. Związek stawia na kartę całe swoje mienie, natomiast pociągnie za sobą strajk nieobliczone straty i komplikacje handlowe i przemysłowe. Wobec tego rząd w osobie lorda George'a postanowił interwenjować, oczywiście nie po francusku lub niemiecku... by wezwał do siebie dyrektorów kolei, celem skłonienia ich do ustępstw. Najwidoczniej słuszność żądań związku jest dla rządu angielskiego zupełnie jasną.

K o n g r e s r a d y k a ł ó w f r a n c u s k i c h w Nancy jak należało z jego stanowiska, zerwał ostatecznie z socjalistami, wypowiedziawszy się kategorycznie przeciwko propagandzie antimilitaryzmu i wypracowali nader obiecującą deklarację o przygotowanych przez się reformach: podatku od dochodu, emeryturach robotniczych i zniesieniu sądów wojennych „Poza temi projektami, które pozostają na porządku dziennym już od dziesiątków lat, radykali wysunęli nowy, będący ich mniemaniem, antytezą socjalizmu: nie zniesienie własności, lecz zreformowanie jej — udostępnienie jej najszerszym masom. W tym szlachetnym celu postanowiono stopniowo znieść płacę roboczą, drogą stopniowej zamiany syndykatów robotniczych na rozporządzające własnym kapitałem — i majątkiem „stowarzyszenia handlu pracą osobistą“, drogą wprowadzenia systemu umowy zbiorowej. Oczywiście, niepodobna zaprzeczyć, że reformy te, przeniknięte są duchem socjalizmu, istotnie skierowane są do polepszenia bytu robotników i z tego powodu nie znajdą one przeciwników wśród socjalistów, wszakże, kto zna życie polityczne Francji, ten chyba nie wątpi, że rezolucje te pozostaną rezolucjami — pilniejsze i mniej radykalne reformy leżą tam w komisjach po kilkanaście lat. Kongres radykałów postanowił między innemi zwrócić się do p a t r j o t y z m u senatorów tamujących zazwyczaj wszelkie reformy. Jeżeli taką metodą „walki“ zamierzają posługiwać się radykali dla dopięcia reform, to winszujemy robotnikom francuskim.

Almar.

K R O N I K A.

RUCH OSWIATOWO-KULTURALNY.

— Biuro I-go Zjazdn oświatowo-kulturalnego zawiadania, że Zjazd nie odbędzie się w wyznaczonym terminie t. j. w pierwszych dniach listopada z powodu okoliczności częściowo nieprzewidzianych, częściowo niezależnych od woli uczestników. Biuro Zjazdu nadal będzie funkcjonowało, pracując nad urzeczywistnieniem tego porozumienia się działaczy na polu oświatowem. Zjazd odbędzie się w styczniu 1908 r. Biuro Zjazdu prosi o dalsze nadsyłanie referatów lub streszczeń takowych do d. 15 grudnia r. b.

— Utworzonem zostało i odbyło już posiedzenie organizacyjne nowe towarzystwo do walki z analfabetyzmem. Program towarzystwa obejmuje otwieranie szkół i kursów dla dorosłych. Językiem wykładowym ma być ten, jakiego zażądają słuchacze kursów lub rodzice dzieci; zgóry więc jest dopuszczony żargon dla tych uczących się, którzy w innym języku z nauki korzystać nie mogliby.

— Przy „Związku Młodzieży“ w początkach listopada rozpoczną się wykłady systematyczne, przystępne ze względu na nizką opłatę, dla szerszych warstw społeczeństwa inteligentnego,

Dotychczas otwarte są już zapisy na wykłady następujące:

J. Wł. Dawid — Psychologja, we wtorki od 8 — 9 i czwartki ed 6 — 7.

Jakób Lewkowicz — Dzieje filozofji współczesnej (od Nietzschego), w poniedziałki od 7—7 i piątki od 6—7.

Dr. Ludwik Hantower — Chemja i fizyka w poniedziałki i czwartki od 6 — 8 w.

Na żądanie grona członków projektowane są wykłady matematyki (algebry i geometrji), w zakresie szkoło średniej — powtórzenie i uzupełnienie kursu, z uwzględnieniem wskazówek metodycznych dla nauczających.

Zapisy przyjmuje i udziela informacji tymczysowe biuro „Związku“ (Złota 26 m. 22) codziennie od 6—8 w.

Ogłoszenia.

Redakcja „SPOŁECZEŃSTWA” zwraca się do czytelników z prośbą o nadsyłanie ofiar na wpisy dla uczniów.

Redaktor i Wydawca *Antoni Miller.* Druk E. Skowrońskiego, Nowy-Świat. 43.